

*Problemy polskiej edukacji
Myśli o szkole
Dla rodziców i nauczycieli
Wokół programu szkoły
Z przymrużeniem oka
Warto przeczytać*

wokół SZKOŁY

KWARTALNIK PEDAGOGICZNO-SPOŁECZNY JAROSŁAWA PYTLAKA

• cena 19 zł

• nr 1/2014 • wiosna 2014 • ISSN 2353-6748

● *Dziecko w Domu
Wielkiego Brata*

● **Czy polska
szkoła może być
lepszą?**

● **Aktorzy na scenie
szkolnego teatru**

● **Zadowolenie
rodziców jako
miara jakości
szkoły**





Rys. Marcin Bartosiewicz

W numerze:

Od redaktora	2
<i>Problemy polskiej edukacji</i>	
Czy polska szkoła ma szansę być lepsza?	5
Zadowolenie rodziców jako miara jakości szkoły	12
<i>Myśli o szkole</i>	
Którędy do nowoczesnej szkoły?	17
<i>Dla rodziców i nauczycieli</i>	
Aktorzy na scenie szkolnego teatru	20
Dziecko w Domu Wielkiego Brata	21
Majowe emocje	29
<i>Wokół programu szkoły</i>	
Dokument inny niż wszystkie	31
Zaproszenie do CZYTALNI	36
<i>Z przymrużeniem oka</i>	
Klubu Pytolutników spotkanie z „Dziadami”	41
<i>Warto przeczytać</i>	
Proste jest piękne i... skuteczne	47

Numer 1, nakład 300 egz.

Redaktor naczelny: Jarosław Pytlak

Adres redakcji: 00-194 Warszawa, ul. Dzika 4A/45

Kontakt e-mail: pytlak@pytlak.com.pl

Wydawca: Interleones Halina Dyczkowska sp.j.

00-194 Warszawa, ul. Dzika 4A/45,

tel./fax: 22 637 31 49

Skład i druk: BEL Studio Sp. z o.o.

Zdjęcia: Klub Siedmiu Przygód

Zdjęcie na okładce: Willem van de Poll | Nationaal

Archief CC-BY-SA

Prenumerata:

Zamówienia i prenumerata realizowane przez wydawcę.

Zamówienia można składać pocztą elektroniczną na adres:

kwartalnik@interleones.com.pl lub telefonicznie

pod numerem **+48 22 637 31 49** (czynny pon.–pt. w godz. 9–17).

Cena egzemplarza w prenumeracie: 16 zł. Przy jednorazowym zamówieniu więcej niż trzech egzemplarzy jednego numeru cena jednostkowa: 14 zł.

Koszty wysyłki pokrywa wydawca.

Zamówienie będzie zrealizowane po wpłacie kwoty równej wartości zamówienia na konto: **21 1030 0019 0109 8530 0033 5656**.

W tytule przelewu należy podać imię i nazwisko lub nazwę zamawiającego.



Od redaktora

Szkoła to od lat dyżurny „chłopiec do bicia” – że jest źle zorganizowana, że źle uczy, że traktuje ucznia bezdusznie...; owo „że” można ciągnąć w nieskończoność. Obecna fala krytyki dokłada do tradycyjnej listy zarzutów nienadążanie za przemianami społecznymi zachodzącymi pod wpływem nowych technologii. Powszechnie wskazuje się na konieczność zmiany sposobu funkcjonowania szkoły, w skrajnych przypadkach nawołując wręcz do jej wyburzenia i stworzenia nowego modelu, godnego XXI wieku. Nawet dość wstrzemięźliwi krytycy są przekonani o potrzebie szybkich i radykalnych działań.

Tak się złożyło, że przez całe dorosłe życie zajmowałem się działalnością pedagogiczną, najpierw jako drużynowy harcerski, potem nauczyciel biologii i chemii, a wreszcie dyrektor szkoły społecznej. Zebrałem wiele doświadczeń, które każą mi z rezerwą traktować zarówno prezentowane w różnych miejscach koncepcje „nowej” szkoły, jak też reformy wprowadzane w życie przez polskie władze oświatowe. Wbrew powszechnemu przekonaniu uważam, że kluczem do zmiany w edukacji nie jest zastosowanie nowych technologii. Placówka, którą kieruję od niemal ćwierć wieku nie spełnia wielu popularnych kryteriów nowoczesności: nie ściga się z innymi w rankingach wyników egzaminacyjnych, nie posiada ani jednej tablicy multimedialnej, nie oferuje uczniom – mimo że ma takie możliwości materialne – kursów szybkiego czytania, rozwoju wielorakich inteligencji, a odkrywanie i szlifowanie talentów uznaje za mniej ważne od wspólnej społecznej aktywności dzieci i nauczycieli. Pomimo to uważam ją za nowoczesną, to znaczy dość dobrze odpowiadającą na potrzeby współczesnego świata, i ten pogląd zdają się podzielać rodzice kilku setek uczniów i absolwentów. Mam prawo sądzić, że koncepcja pedagogiczna leżąca u jej podstaw sprawdza się w praktyce i jako taka może być wkładem do dyskusji o zmianach potrzebnych oświacie. Tę koncepcję chcę upowszechniać na łamach niniejszego czasopisma.

Nie wierzę w możliwość zburzenia dotychczasowego modelu szkoły i stworzenia innego jednym aktem kreacji. Wierzę natomiast w stopniową ewolucję zachodzącą pod wpływem zmian wprowadzanych oddolnie, w poszczególnych placówkach. Wychodząc z takiego założenia chciałbym widzieć ministerstwo edukacji stawiające drogowskazy i wspierające twórczość i oryginalność, a nie działające na rzecz ujednolicenia wszystkich szkół. Jako obywatel i jako pedagog przyznaję sobie prawo do recenzowania z tej pozycji działań najwyższych władz oświatowych, co zamierzam czynić także na tych łamach.

Uważam, że ogromnym zagrożeniem dla młodego pokolenia jest trudny do ogarnięcia zalew informacji, wśród których rzetelny przekaz coraz częściej ustępuje miejsca zabiegom marketingowym. Ten problem dotyka zresztą także dorosłych, w tym rodziców i nauczycieli. Remedium upatruję w mądrym sięganiu do dorobku poprzednich pokoleń i respektowaniu ponadczasowych wartości moralnych. W materiałach publikowanych na łamach „Wokół szkoły” zamierzam być rzecznikiem takiej właśnie postawy. Rozumiem ludzi głoszących pogląd, że pociąg postępu cywilizacyjno-społecznego, wynikającego

z rozwoju technologii, odjeżdża i powinniśmy zająć w nim miejsce, ale pragnę uczynić wszystko, co w mojej mocy, aby umiar i zdrowy rozsądek nie pozostały opuszczone na peronie. Swoje pismo adresuję do wszystkich zajmujących się wychowaniem młodego pokolenia: rodziców, nauczycieli, dyrektorów szkół i innych osób związanych z oświatą. Każdemu czytelnikowi pragnę dostarczyć materiału do przemyśleń oraz zachęty, by w pogoni za nowoczesnością nie zagubił wartości – prawdy, zaufania i odpowiedzialności, które także w świecie pełnym technologii powinny być podstawą budowania relacji międzyludzkich. Nie oferuję lektury łatwiej i szybkiej, choć mam nadzieję, że mimo wszystko będzie ona przyjemna. Z wyjątkiem niniejszego numeru, wszystkie kolejne będę wydawał wyłącznie w wersji papierowej, pragnąc zachować ekskluzywność publikowanych treści, nieosiągalną dla materiałów upowszechnianych w internecie.

Zamierzam publikować przede wszystkim materiały własne, jednak jestem również gotów udostępnić łamy kolejnych numerów kwartalnika innym autorom, zainteresowanym podobną problematyką. Od razu, na starcie, korzystam ze wsparcia wieloletniego towarzysza harcerskiej przygody, Marcina Bartosiewicza, którego rysunki powitają Czytelników na pierwszej stronie każdego numeru. Mam również zapewnioną pomoc moich młodych wychowanków z Klubu Siedmiu Przygód, którzy wspólnie z nauczycielką, panią Marzeną Raczek podjęli się zadania ożywienia kolejnych numerów zdjęciami przedstawiającymi sceny z życia szkoły. Mogę też być pewny życzliwej rady i pomocy ze strony współpracowników z Zespołu Szkół STO na Bemowie oraz mojego nieocenionego Wydawcy. W sumie dysponuję ogromnym kapitałem społecznym, który dodaje mi wiary w powodzenie całego przedsięwzięcia.



Klub Siedmiu Przygód

Przy tym wszystkim, nie da się ukryć, mam poczucie misji.

Ludzi z mojego pokolenia, wychowanych w głębokim PRL-u, a nawet tych nieco młodszych, zmieniająca się szybko rzeczywistość może przyprawiać o zawrót głowy. Zapamiętany z młodości statyczny obraz świata przeobraził się w kalejdoskop, zmieniły się relacje międzyludzkie, niektóre pojęcia zanikły, inne nabrały odmiennego znaczenia. W nowoczesnym świecie nowe nie idzie, lecz maszeruje z przytupem, niektórych porwijąc entuzjazmem, innych pozostawiając w poczuciu zagubienia. Wśród tych ostatnich znajduje się wielu rodziców i nauczycieli, których odwieczne zadanie – wprowadzenie w życie młodego pokolenia – jest dzisiaj szczególnie trudne. Niełatwo być przewodnikiem po nieznannej krainie.

Swoją misję upatruję w pomaganiu zagubionym wśród wyzwań, które nowoczesny świat stawia przed wychowawcami. Część problemów będzie przedmiotem poważnej analizy w artykułach publikowanych w różnych działach tego kwartalnika. Inne znajdą odzwierciedlenie w rozsypanych tu i ówdzie, stosownie do kontekstu, żartobliwych hasłach, które, jak mam nadzieję, staną się kiedyś załącznikiem „Słownika pedagogicznego dla rodziców i nauczycieli zagubionych w nowoczesnym świecie”. Chciałbym, aby ich lektura skłaniała do refleksji, a zarazem pomagała nabrać zdrowego dystansu do problemów współczesnego wychowawcy, na które warto czasem spojrzeć z przymrużeniem oka.

Rozpoczynając redakcyjną przygodę jestem przygotowany do wydania czterech numerów kwartalnika. O dalszym losie „Wokół szkoły” zadecyduje zainteresowanie jego czytelników.

Jarosław Pytlak

Słownik pedagogiczny dla rodziców i nauczycieli zagubionych w nowoczesnym świecie



LAJK

Podstawowy przejaw aktywności społecznej w nowoczesnym świecie. Zredukowany do jednego kliknięcia końcowy etap ewolucji sposobu wyrażania ludzkich uczuć, po lirykach Wergiliusza, sonetach Petrarke, listach Sobieskiego do Marysieńki i innych tego typu ramotach. Załajkowanie przez dziecko fanpejdżów mamy i taty może stać się w niedalekiej przyszłości warunkiem niezbędnym utrzymania kontaktu w rodzinie, w której każdy spędza czas przed ekranem swojego komputera.

NIE BAWIĘ SIĘ Z TOBĄ!

Prosty komunikat umożliwiający dziecku poinformowanie innego dziecka o niezadowoleniu z jakości wzajemnych kontaktów. Zdrowy przejaw kształtowania relacji społecznych w grupie rówieśniczej, przez niektórych rodziców określany nowoczesnie mianem mobbingu. Mobbing w piaskownicy – tego nie wymyśliłby nawet Mrozek!

PATYK

Odpowiednik konsoli do gier w epoce przedcyfrowej. Jak wspominają starzy nauczyciele, służył dzieciom do najróżniejszych zabaw. Obecnie powszechnie uważany za niegodny funkcji zabawki. Troskliwy rodzic, mówiący do dziecka „Wyrzuć mi to świństwo!”, byłby zapewne zdziwiony słysząc, że zabawa patykiem „w coś” korzystniej wpływa na rozwój mózgu malucha niż najbardziej nawet wyrafinowana gra elektroniczna.

SZEŚCIOLATEK

Dziecko w okresie największej chłonności umysłu i chęci uczenia się, a przez to – zdaniem polskich władz – idealny kandydat na ucznia. Tymczasem jest naukowo udowodnione, że szkoła skutecznie zabija chęć do nauki. Gdyby władze kierowały się logiką, a nie względami ekonomicznymi, należałoby raczej oczekiwać wydłużenia okresu edukacji przedszkolnej.



Czy polska szkoła ma szansę być lepsza?

Śledząc w ostatnich latach publiczną debatę na temat oświaty, trudno nabrać przeświadczenia, że polska szkoła jest dobra. Przemoc, nieprzystosowanie do potrzeb sześciolletnich dzieci, zbyt wielka różnorodność zbyt drogich podręczników, coraz niższy poziom intelektualny młodzieży podejmującej studia wyższe – to tylko najbardziej nagłośnione w mediach zarzuty pod jej adresem. Codzienne doświadczenia rodziców, uczniów i nauczycieli, sądząc choćby z wypowiedzi dostępnych w internecie, często też nie są dobre. Z pewnością więc polska szkoła mogłaby być lepsza. Ale czy ma taką szansę?!

Jeżeli prawdą jest, że nic tak nie poprawia człowiekowi humoru jak świadomość, że inni też mają kłopoty, powyższe pytanie staje się mniej dramatyczne. Po prostu nigdzie na świecie nie ma pełnego zadowolenia z działania lokalnego systemu edukacji. Weźmy za przykład Koreę Południową, która niezmiennie okupuje najwyższe miejsca w wynikach testów PISA, a szerokopasmowy dostęp do internetu wprowadziła jako standard w szkołach ładnie parę lat temu. Poczuciu dumy z tych osiągnięć towarzyszą poważne wątpliwości. Czy kilkunastogodzinny dzień pracy ucznia aspirującego do zdobycia wyższego wykształcenia aby na pewno jest zjawiskiem pozytywnym? Czy to, że tzw. „cyfrową demencję”^{*} opisali właśnie koreańscy uczeni jest efektem ich szczególnej wnikliwości, czy może raczej wskaźnikiem, że cyfryzacja życia, w tym edukacji, prowadzi do groźnych efektów ubocznych, najbardziej widocznych w społeczeństwie będącym w awangardzie postępu technologicznego? Jednoznacznej odpowiedzi chwilowo brak, ale satysfakcja Koreańczyków z pewnością nie jest pełna.

Jeśli chodzi o nasz kraj, ledwo zdążyliśmy ucieszyć się z wyraźnej poprawy miejsca piętnastolatków w teście PISA, okazało się, że w aspekcie rozwiązywania praktycznych problemów wypadli oni jednak bardzo blado. Słaby był również wynik polskich dziesięciolatków w innym prestiżowym badaniu TIMSS. W dziedzinie matematyki znaleźli się oni na ostatnim (!) miejscu wśród państw europejskich, zaś w dziedzinie przyrody zdołali w tym gronie wyprzedzić jedynie Norwegię i Maltę. Dla odmiany w rankingu systemów edukacyjnych ogłoszonym ostatnio przez firmę Pearson Polska znalazła się na dziesiątym

^{*} Cyfrowa demencja – zaburzenia depresyjne, zakłócenia snu, dekoncentracja i inne tego typu problemy zaobserwowane u niektórych osób intensywnie korzystających z mediów cyfrowych (za: Manfred Spitzer „Cyfrowa demencja”, Wyd. Dobra Literatura, Warszawa 2013).

miejsu w świecie, zaś w raporcie Better Life Index, przygotowanym przez OECD, pod względem edukacji zajęła drugie miejsce wśród 34 członków tej organizacji. Jak widać, nie ma uniwersalnego wskaźnika jakości edukacji. Wobec tak zróżnicowanych ocen naprawdę trudno określić obiektywną wartość polskiej szkoły.

Niezależnie od wszelkich rankingów każdy kraj ma w dziedzinie edukacji swoje problemy i każdy poszukuje jak najlepszych rozwiązań. Można by oczekiwać, że wysiłek tysięcy pedagogów, psychologów, nauczycieli, nie mówiąc już o politykach na całym świecie, rychło doprowadzi do poprawy stanu rzeczy. Niestety, taki scenariusz wydaje się dzisiaj mało prawdopodobny.

Historia myśli pedagogicznej obfituje w świetne pomysły. Koncepcja szkoły Rudolfa Steinera czy metoda nauczania Marii Montessori, powstałe około sto lat temu, to przykłady spektakularne, posiadające do dzisiaj wielu naśladowców. A jednak nawet one były i są tylko marginesem systemu edukacji. Dlaczego? Po prostu zbyt trudno je wdrożyć. Trudność dotyczy zarówno doboru wystarczająco dobrych nauczycieli, jak zapewnienia niezbędnych warunków materialnych.

W współczesnej edukacji wszystko jest wielkie. W samej Polsce pracuje blisko pół miliona nauczycieli. Taką armię należy przygotować do działania, planując jakąkolwiek zmianę systemową. Jest oczywiste, że w tej masie ludzi znajdzie się wielu, których owa zmiana przerośnie. Z tego powodu przebudowa systemu musi mieć charakter długofalowy, a na jej efekty trzeba czekać latami. Tymczasem w pulsującym dzisiaj nerwowo życiu społecznym oczekuje się efektów tu i teraz. W makroskali – choćby w postaci postępu w kolejnych edycjach testów PISA i TIMSS. I w skali mikro – przez niezawodne ujawnienie talentów lub udzielenie niezbędnego wsparcia każdemu uczniowi z osobna. Rozziew pomiędzy oczekiwaniami a efektami bywa ogromny.

Sytuację pogarsza deficyt autorytetów. W dobie internetu każdy może wypowiadać się publicznie na każdy temat, co jest zapewne wielkim osiągnięciem demokracji, ale przy okazji prowadzi do dewaluacji myśli. Wśród szumu informacyjnego trudno wyłowić pomysły naprawdę cenne. Coraz częściej trudno wręcz zorientować się, czy pozytywna wypowiedź na jakikolwiek temat jest szczerym poglądem jej autora, czy tylko zabiegiem marketingowym. W tej sytuacji nie należy raczej spodziewać się narodzin rewolucyjnej wizji nowej szkoły, nadającej się do powszechnego wdrożenia na całym świecie. Pozostaje samodzielnie mozolić się uprawianiem krajowego poletka, które, niestety, jest mocno kamieniste, nie tylko z racji opisanych wyżej problemów uniwersalnych, ale także z powodu specyfiki lokalnej. Tę ostatnią znakomicie odmalował Włodzimierz Zieliński w liście opublikowanym pięć lat temu na łamach „Gazety Wyborczej” pod tytułem „Szkoła musi być ciekawsza, ale nie będzie”.

Czytelnik bez trudu znajdzie ów tekst w internecie (gorąco polecam!), ja przytoczę tylko jego główne tezy. Autor wskazuje cztery systemowe przyczyny, z powodu których polska szkoła jest i pozostanie na razie mało atrakcyjna dla uczniów. Określa je słowami: *przymus, biurokracja, BHP i motywacja*.

Prymus w polskiej edukacji, zdaniem Zielicza, polega na niemal zupełnym pozbawieniu uczniów wpływu na to, czego i na jakim poziomie się uczą. „System szkolny zakłada nie tyle przygotowanie uczniów do czegoś, co z przyjemnością i pożytkiem będą robili w przyszłości (np. czytania książek), co wduszenie w nich wiedzy, która 99,999 proc. z nich do niczego nie będzie potrzebna”.

Problem *biurokracji* jest doskonale znany wszystkim, którzy mają zawodowo do czynienia z oświatą. „W obecnej polskiej szkole liczy się przede wszystkim perfekcyjna dokumentacja. Na jej możliwie pełną kontrolę nastawione jest praktycznie całe funkcjonowanie aparatu zarządzającego oświatą”. Tę tezę autor rozwija, podając kilka smakowitych przykładów i wieszcząc, że dzięki postępowi technologicznemu „różni zewnętrzni nadzorcy będą mogli tę dokumentację kontrolować przez Internet już nawet nie ruszając się z biurka”.

Zasady bezpieczeństwa i higieny pracy z uczniem, propagowane w naszym kraju podczas kursów pedagogicznych, sprowadzają się do długiej listy sankcji za wszelkie możliwe niedopatrzenia. „Optymalne z punktu widzenia bezpieczeństwa nauczyciela byłoby ubranie jego podopiecznych w kaftany bezpieczeństwa na czas pobytu w szkole” – pisze Zielicz – i wyciąga z tego logiczny wniosek, że „trudno oczekiwać masowości wszelkich interesujących, więc nieszablonowych działań, które nauczycielskie ryzyko odpowiedzialności czy choćby oskarżeń i śledztw znacznie zwiększają”.

Wreszcie kwestia *motywacji*. „Nasz system edukacyjny jest obecnie w niespotykanym nigdy stopniu (nawet w PRL) nastawiony na drobiazgową, biurokratyczną kontrolę oraz wymuszanie od szkoły i nauczycieli już nawet nie działań, a ich odzwierciedlenia w dokumentacji”. Choć przecież powszechnie wiadomo, że z niewolnika nie ma robotnika.

Mimo upływu lat tezy listu Włodzimierza Zielicza nie straciły na aktualności. Co więcej, każda z przyczyn decydujących jego zdaniem o tym, że polska szkoła pozostanie mało atrakcyjna dla uczniów, w mojej opinii powoduje również, że nie stanie się ona lepsza pod jakimkolwiek innym względem. Nie liczyłbym, poza jednostkowymi przypadkami, na wzrost efektywności nauczania, uczynienie ze szkoły środowiska wychowawczego, kształtującego pozytywne wzorce relacji międzyludzkich, ani przywrócenie jej kulturotwórczej roli w społecznościach lokalnych. Prymus i biurokracja zyskały wręcz jeszcze na znaczeniu, bowiem znalazły swoje ucieleśnienie w powszechnej ewaluacji szkół oraz rozrastającym się systemie egzaminów zewnętrznych.

Stworzenie wzorca idealnej szkoły w postaci dwunastu standardów, które każda placówka może spełniać na jednym z pięciu poziomów, oraz desygnowanie legionu ewaluatorów w celu sprawdzenia, na ile różne szkoły spełniają te wymagania, stanowi spełnienie najśmielszych marzeń urzędnika oświatowego. Kryteria są uniwersalne, a więc, jak można się domyśleć, nie przewidują specjalnego miejsca dla placówek odbiegających od schematu, nawet jeśli są one wybitne. „Pani szkoła nie mieści się w naszych rubrykach” – usłyszała dyrektorka najlepszej znanej mi publicznej szkoły podstawowej. A jednak jej placówka wcale nie otrzymała kompletu ocen najwyższych – bo to tu, to tam, w ankietach i wywiadach znalazły się wypowiedzi odbiegające od założonego wzorca doskonałości. Cóż, jak dokładny obraz słonia można uzyskać w kieszonkowym lusterku?!

O ile jednak ewaluację zewnętrzną można potraktować z pewnym dystansem, jako stratę czasu, a w najgorszym razie lekcję hipokryzji, zazwyczaj pozbawioną dramatycznych następstw, o tyle egzaminy w swojej obecnej wersji są prawdziwym problemem. Stanowią narzędzie przymusu powodujące, że od najmłodszych lat uczy się dzieci „pod testy”. Skutecznie zabijają motywację do wzbogacania oferty edukacyjnej. Przekonałem się o tym jako nauczyciel chemii. Formuła egzaminu gimnazjalnego z przedmiotów przyrodniczych, składającego się wyłącznie z pytań zamkniętych, powoduje, że przeprowadzanie z uczniami doświadczeń, uczenie ich samodzielnego zapisywania wzorów, tudzież rozwiązywania praktycznych problemów jest marnowaniem czasu, który można by poświęcić na utrwalanie ograniczonego zasobu wiadomości dających się sprawdzić za pomocą testu. Dopóki szkoły będą oceniane przez pryzmat rankingu egzaminacyjnego, dopóty powszechne zwiększenie atrakcyjności i jakości nauczania pozostanie w sferze pobożnych życzeń.

Jest jeszcze jedna przyczyna, która powoduje, że polska szkoła w najbliższej przyszłości nie będzie lepsza. Określę ją tutaj słowem *lekceważenie*. Nie ma chyba drugiej grupy zawodowej w równym stopniu lekceważonej przez władzę jak nauczyciele. Co prawda w sferze deklaracji zaszczytna misja tego zawodu jest akcentowana niezwykle mocno, a dobra praca nauczycieli wskazywana jako klucz do sukcesu całego systemu edukacji, jednak praktyka jest zupełnie inna. Kolejne, większe i mniejsze reformy są źle przygotowane, wdrażane w zawrotnym tempie i bez refleksji nad możliwością ich praktycznej realizacji i potencjalnymi skutkami. Doskonałego przykładu dostarcza znana głównie specjalistom historia KIPU. Nie chodzi bynajmniej o indiańskie pismo węzełkowe, ale Kartę Indywidualnych Potrzeb Ucznia, dokument, który w myśl rozporządzenia wydanego w 2010 roku miał powstać dla każdego dziecka, u którego stwierdzono jakieś specjalne potrzeby. Czyli dla mniej więcej połowy populacji. Drobiazgowość wytycznych w sprawie kształtu i sposobu tworzenia tego dokumentu, a także wymóg zaangażowania w pracę nad nim każdorazowo kilku, a nawet kilkunastu osób, i co za tym idzie ogromnej ilości czasu i papieru, od samego początku rodziły pytanie, czy pomysł ten jest potrzebny, a przede wszystkim, czy jest realny. Rozporządzenie jednak weszło w życie i jak Polska długa i szeroka poczęto tworzyć KIPU, najczęściej kosztem czasu, który mógłby być poświęcony pracy z dziećmi. I jak to się skończyło? Ano w kolejnym rozporządzeniu, które ujrzało światło dzienne trzy lata później, KIPU już nie było! Trzy lata katorzniczej pracy, której bezsens dla każdego człowieka znajdującego szkolne realia był oczywisty od samego początku, przeszły do historii. I co? I nic. Po prostu problem zapadł w niebyt, nikt nie poniósł odpowiedzialności, nie padło nawet słowo przepraszam.

Historia KIPU dobitnie ilustruje, że oświata znajduje się we władaniu urzędników i polityków (w tej właśnie kolejności), którzy mają mgliste pojęcie o realiach życia szkolnego i za mało wyobraźni, żeby przewidzieć następstwa swoich działań. A prezentowany przy tworzeniu prawa brak poszanowania dla czasu i wysiłku nauczycieli nie spędza im snu z powiek.

W tym miejscu dochodzimy do problemu, którym żyje polskie środowisko oświatowe WAD 2014, a mianowicie bezpłatnego podręcznika dla uczniów klas pierwszych, przygotowywanego przez Ministerstwo Edukacji Narodowej. Tu również odnajdujemy symptomy *lekceważenia*.

Pomysł od początku wzbudzał wiele kontrowersji. Wskazywano zbyt krótki czas na przygotowanie wartościowego podręcznika, wątpliwy sens zaprzepaszczenia liczącego się dorobku autorów i wydawców edukacyjnych oraz możliwość osiągnięcia podobnych celów – zmniejszenia kosztów ponoszonych przez rodziców i ograniczenia objętości materiałów edukacyjnych – mniej rewolucyjną drogą. Na próżno. Władze zagrały o wysoką stawkę – wdzięczność wyborców za odciążenie budżetów rodzinnych, a na początku kampanii propagandowej jeszcze ją podbiły, sugerując, że dotychczasowy wolny wybór podręczników dokonywany przez nauczycieli miał w jakimś stopniu charakter korupcyjny, bo wydawcy wraz z książkami oferowali rozmaite prezenty. Obraz nauczyciela wybierającego podręcznik w zamian za korzyści dla szkoły, a może nawet dla siebie, wzmocnił pryncyplny odbiór społeczny całego pomysłu. Tak oto w imię doraźnego interesu politycznego, uderzono w i tak już minimalny prestiż tego zawodu. Ale któż by się przejmował nauczycielami?!

Pierwsza z czterech części podręcznika zatytułowanego „Nasz elementarz” została zaprezentowana w połowie kwietnia. Nie będę w tym miejscu wskazywał słabości tej książki. Uczynili to lepsi ode mnie specjaliści w ramach konsultacji społecznej zorganizowanej przez MEN. Trzeba przyznać, że akcja „*Cały naród recenzuje elementarz*” udała się nadszpodziewanie dobrze. Do 96 stron zgłoszono podobno kilkaset zastrzeżeń. Autorki zadeklarowały, że postarają się je uwzględnić w ostatecznej wersji podręcznika, a pani minister za pośrednictwem Twittera (sic!) wybiła z głowy dziennikarzom i ekspertom „Gazety Wyborczej” pomysł odłożenia o rok całej operacji. Ważne jest, że w myśl nowego prawa podręcznik przygotowany przez ministerstwo może trafić do szkół z pominięciem dotychczas obowiązujących procedur. W ten sposób państwo zdeprecjonowało zbudowany wcześniej przez siebie system, oparty na autorytecie rzeczoznawców ministerialnych, prawdopodobnie dlatego, że w swojej obecnej postaci „Nasz elementarz” miałby niewielką szansę na uzyskanie pozytywnych recenzji. Cel uświęcił środki, nie pierwszy i nie ostatni raz w historii polityki. Ja jednak w tym miejscu zwrócę uwagę na inny, mniej eksponowany aspekt całej sprawy, który powoduje, że jest ona jaskrawym przykładem opisywanego przeze mnie *lekceważenia*.

W wrześniu 2014 roku pójdzie do pierwszej klasy, mniej więcej, półtora rocznika dzieci. Do pracy z nimi przystąpi wiele tysięcy nauczycieli. Znaczna część z nich po raz pierwszy stanie przed zadaniem uczenia zreformowanych pierwszaków. To ogromne obciążenie, nawet jeśli uznać, że sześciolatki świetnie nadają się do szkoły – a przecież opinie na ten temat są podzielone. Tymczasem jedna decyzja władz zmusza tę rzeszę ludzi do podjęcia nowego zadania przy użyciu narzędzia, którego chwilowo jeszcze nie ma, a które w najlepszym razie będzie niedoskonałe. Czy ktoś w gmachu przy al. Szucha zdaje sobie sprawę, co znaczy uczyć o rok młodsze niż dotąd dzieci, korzystając z narzuconego odgórnie podręcznika oraz materiałów pomocniczych, o których chwilowo wiadomo tyle, że będą

ELEMENTARZ

Podręcznik do początkowej nauki pisania i czytania, zarazem tytuł najślawniejszego polskiego podręcznika szkolnego, napisanego w 1910 roku przez Mariana Falskiego, będącego w użyciu aż do roku 1974. Na jego tle ministerialny podręcznik dla klasy pierwszej z roku 2014, zatytułowany „Nasz elementarz”, jest prawdziwym celebrytą – znany jest głównie z tego, że się o nim mówi.



udostępnione 1 września!? Trudno o bardziej dobitny wyraz *lekceważenia* nauczycieli, na których przecież spadnie odium wielu także prawdopodobnych dziecięcych niepowodzeń.

Amoże by poćwiczyć w innej dziedzinie? Wciąż słysząc, że opieka zdrowotna w Polsce wymaga reformy. Niech rząd wycofa wszystkie leki z aptek i ogłosi, że ich nowa lista zostanie opublikowana pewnego pięknego dnia w przyszłości, a do tego czasu lekarze są zobowiązaniu bezpłatnie ucierać maści i mieszać mikstury na podstawie własnej wiedzy i receptur opublikowanych w internecie?! Zobaczmy, jaki będzie efekt. Niestety, to wcale nie jest śmieszne.

Teraz napiszę o tym, co dotyczy mnie bezpośrednio. Od wielu lat jestem dyrektorem szkoły podstawowej. Ponoszę odpowiedzialność za wszelkie aspekty funkcjonowania kierowanej przez siebie placówki i wiem już, że nic tak łatwo nie przychodzi prawodawcom, jak pisanie w dokumentach: „dyrektor zorganizuje”, „dyrektor przeprowadzi”, „dyrektor odpowiada za” itp. Fakt, że w swojej pracy znajduję czas na kontakt z uczniami jest tylko świadectwem mojej silnej woli, nie zaś efektem takiego rozumienia przez prawo misji osoby kierującej szkołą. Mimo nabytej przez lata odporności psychicznej, burzę się na myśl o czekających mnie konsekwencjach pomysłu jednego bezpłatnego podręcznika.

Choćby nie wiem jak krytycznie oceniać objętość i treść oferowanych do tej pory zeszytów ćwiczeń zawartych w zestawach podręcznikowych różnych wydawców, jakieś materiały pomocnicze do nauki będą nadal niezbędne. Na prowadzonej przez MEN stronie internetowej poświęconej „Naszemu elementarzowi” zapowiadane są karty zadań i materiały do nauki pisania, które mają być gotowe do 1 września 2014 roku. Własne materiały będą też przygotowywać nauczyciele. To oznacza – szacuję – kilka tysięcy stron rocznie na każdą klasę, które powinniśmy wydrukować lub powielić, po części przynajmniej w kolorze. Niewielka drukarka laserowa w naszej szkole nie wytrzyma zapewne takiego obciążenia, więc trzeba będzie zakupić mocniejszą, a ponadto papier i bardzo drogi toner. Do tego dojdzie jeszcze czas osoby prowadzącej na użytek nauczycieli taką małą poligrafię. A wszystko to za 50 złotych, które państwo oferuje rocznie na każdego ucznia.

Warto, by ktoś sobie uświadomił, że koszt kolorowej kartki wydruku jest co najmniej dziesięciokrotnie wyższy od kosztu zakupu jednej strony kolorowego zeszytu ćwiczeń, nawet przy wyjątkowo wysokich marżach wydawcy i księgarza! Oczywiście, jest możliwe, że wydawnictwa edukacyjne wykorzystają okazję i zasypią nas ofertą kolorowych i niedrogich zeszytów ćwiczeń do „Naszego elementarza”. Może nawet zdarzy się cud i zeszyty te będą gotowe we wrześniu. Na razie jednak widzę dwa wyjścia: albo znajdzie się sposób na wyciągnięcie od rodziców brakujących funduszy, co będzie zapewne surowo potępionym zamachem na istotę tej najnowszej reformy, albo dzieci będą miały niewystarczającą ilość materiałów.

Reforma podręcznikowa zmusi mnie do organizowania w szkole chałupniczej działalności poligraficznej. Jeżeli ktoś uważa, że jestem w błędzie, bowiem wszystkie materiały pomocnicze będzie można wykorzystać w wersji elektronicznej, proponuję, żeby zechciał sam poćwiczyć zmiany siły nacisku ołówka przy pisaniu po ekranie swojego tabletu. Nie będzie łatwo, a przecież nie jest sześciolatkiem. Mam poczucie, że będąc już radcą prawnym, opiekunem społecznym, ekspertem budowlanym, pracodawcą, dyplomata,

psychoterapeutą, ekonomistą i chłopcem na posyłki władz oświatowych i samorządowych, zostałem jeszcze mianowany drukarzem i kustoszem szkolnego zasobu podręczników. To naprawdę wysoka cena, którą zapłacę za to, by rodzice nie musieli płacić za podręczniki. Czy takie dokładanie obowiązków – bo żadne obciążenie w zamian nie zostało ze mnie zdjęte – ma mnie motywować do podejmowania nowatorskich działań na rzecz doskonalenia pracy szkoły? Chyba tylko szkoły przetrwania.

Nawiasem mówiąc, w ekonomii nie istnieje pojęcie „bezpłatny”. Za wszystko trzeba zapłacić. Jeśli płatnikiem będzie państwo, zapłacą wszyscy podatnicy. Zapłacą, choć już nie pieniędzmi, także dzieci, nauczyciele i dyrektorzy szkół.

Prymus, biurokracja, BHP, motywacja i lekceważenie. To słowa-klucze, które kryją w sobie odpowiedź, dlaczego w najbliższej przyszłości polska szkoła nie stanie się lepsza. Oczywiście można by do tej listy dodać więcej haseł, na przykład, *mizéria finansowa*, albo – niech mi Czytelnik wybaczy, że w tym miejscu nie uzasadnię – *Karta Nauczyciela*. Szkoła stanie się lepsza dopiero wtedy, gdy prawo oświatowe zacznie wspierać autonomię poszczególnych placówek, tworząc nauczycielom i dyrektorom warunki do twórczej pracy z dziećmi. Jeszcze raz zacytuję Włodzimierza Zielicza: „(...) efektywna szkoła to kontakt człowieka z człowiekiem, a nie miejsce produkcji dokumentacji czy kontaktu urzędnika z petentem. Ważny jest nie fakt, odnotowany, odbycia lekcji, rozmowy z rodzicem czy uczniem etc. tylko ich skutki dla funkcjonowania zainteresowanych stron”. O to właśnie chodzi!

Na zakończenie łyk optymizmu. Coraz więcej placówek wprowadza w swojej pracy wychowawczej tutoring czyli partnerską relację pomiędzy nauczycielem i uczniem, która ma wspierać rozwój samoświadomości młodego człowieka, a dodatkowo nadaje ludzkie oblicze instytucji szkoły. Dzieje się tak bez ustaw i rozporządzeń, głównie dzięki woli i entuzjazzmowi ludzi, którzy rozumieją, że szkoła to nie tylko zakład kształcenia. A więc jednak istnieje szansa, żeby coś zmienić, potrzeba tylko wyobraźni i dobrej woli.



Z cyklu: „Problemy polskiej edukacji”...

Zadowolenie rodziców jako miara jakości szkoły

Jakość różnych szkół budzi powszechne zainteresowanie. Pytają o nią rodzice i starsi uczniowie. Nieustannie analizują ją rady pedagogiczne. Interesuje ona organy prowadzące, czyli samorządy terytorialne, osoby prawne i fizyczne pełniące taką rolę. Stanowi wreszcie przedmiot szczególnej troski państwa, utrzymującego aparat kontrolny wyspecjalizowany w jej ocenianiu, które w pedagogiczno-urzędowej terminologii nosi nazwę ewaluacji zewnętrznej.

Najbardziej wyrafinowane kryteria oceny stosują reprezentanci państwa. Rozporządzenie Ministra Edukacji Narodowej określa dwanaście wymagań, a w każdym z nich szkoła może otrzymać ocenę od A (najwyższa) do E (najniższa). Kontrolerzy poświęcają badanej placówce kilka tygodni, dostarczając nadprogramowej aktywności nauczycielom, rodzicom i dzieciom. Na zakończenie tworzą obszerny raport, z którego do świadomości szerszych kręgów społeczeństwa przedostają się zazwyczaj jedynie literki, określające stopień spełniania poszczególnych wymagań. Dla „szeregowego” obywatela wartość informacyjna tego przekazu – o ile w ogóle do niego dotrze – jest niewielka.

Prostsza i bardziej efektywna jest ewaluacja wewnętrzna, prowadzona przez dyrektora szkoły i radę pedagogiczną. Ukierunkowana zazwyczaj na konkretne zagadnienia, ważne dla danej placówki, stwarza szansę na doskonalenie jej funkcjonowanie. Ponieważ jednak rozgrywa się głównie wewnątrz zespołu nauczycielskiego, nie ma bezpośredniego wpływu na sposób postrzegania szkoły z zewnątrz.

Dla opinii publicznej, w tym także rodziców, uczniów i organów prowadzących, najłatwiej dostępnym wskaźnikiem są rezultaty egzaminów zewnętrznych. W sensie użytkowym miara ta ma same zalety: wyraża się co najwyżej kilkoma liczbami, posiada punkt odniesienia, którym jest średnia (do wyboru: ogólnopolska, wojewódzka, powiatowa, gminna), pozwala łatwo umieścić daną placówkę w szeregu jej podobnych. Niestety, w sensie pedagogicznym posiada równie wiele wad. Egzaminy zewnętrzne, ze względu na swój testowy charakter, sprawdzają jedynie część kompetencji intelektualnych ucznia, całkowicie pomijając jego kreatywność i kompetencje społeczne – ich wyniki budują więc wysoce niepełny obraz efektów pracy szkoły. Rozrastający się system egzaminów jest źródłem niezwykle szkodliwego dla edukacji zjawiska testomanii. Przejawia się ono, między innymi, nadmierną koncentracją nauczycieli na

przygotowywaniu uczniów do testów, wzrastającą konkurencją pomiędzy szkołami o uczniów najbardziej uzdolnionych, rokujących najlepszy wynik na egzaminie (przy ograniczeniu oferty dla uczniów słabszych), wreszcie sprowadzaniem oceny pracy nauczyciela do wyniku egzaminacyjnego jego uczniów. Ten wskaźnik jest po prostu szkodliwy. Ponieważ jednak opinia publiczna potrzebuje jakiegoś wyznacznika jakości szkoły, powstaje pytanie o alternatywę.

Nie zaproponują jej władze oświatowe. Ewaluacja zewnętrzna i system egzaminów zapewniają stały dopływ danych, pozwalających tworzyć podsumowania, diagnozy oraz wytyczać kierunki działania. Z punktu widzenia urzędników wszelkie przejawy testomanii są, w najgorszym razie, drobną niedogodnością niezwykle wygodnego systemu. Aby znaleźć alternatywny wskaźnik jakości pracy szkoły, trzeba zatem odejść od zakorzenionego w polskiej tradycji przekonania o wyłącznej odpowiedzialności państwa za powszechną edukację.

Agdyby tak powierzyć ocenianie pracy szkoły ludziom najbardziej zainteresowanym jej najwyższą jakością, czyli rodzicom uczniów?

Miejsce i rolę rodziców w systemie edukacji określają zapisy w *Ustawie o systemie oświaty*. Mają oni wpływ na życie szkoły za pośrednictwem organów przedstawicielskich: rady szkoły i rady rodziców. Uprawnienia obu ciał są jasno określone i wydają mi się wystarczające, aby mogły wywierać realny wpływ na funkcjonowanie placówki, a równocześnie na tyle ograniczone, by nie grozić paraliżem pracy dyrekcji. Oczywiście praktyka może być różna, ale to już zależy od ludzi, a nie tylko od przepisów. Obecny stan prawny uważam za zadowalający, ale nie widzę żadnego powodu, by rodzice nie mogli uzyskać realnego wpływu na ocenę pracy szkoły. Wiem, co prawda, że ich opinie są brane pod uwagę w ewaluacji zewnętrznej, ale giną w morzu słów zawartych w raporcie końcowym, a przez to nie tworzą jednoznacznego komunikatu. Tymczasem sądzę, że warto umożliwić rodzicom wyrażenie prostej opinii, jak oceniają pracę „swojej” szkoły. Nazwałbym ją wskaźnikiem poziomu zadowolenia.

Większość rodziców ma jakieś oczekiwania wobec szkoły swojego dziecka. Wielu aktywnie poszukuje najlepszej dla niego placówki. Wszędzie, gdzie istnieje wybór choćby pomiędzy dwiema szkołami na tym samym poziomie kształcenia, istnieje też nieformalna giełda opinii, która z nich jest lepsza i pod jakim względem. Moja propozycja polega na stworzeniu możliwości zebrania tego typu opinii i podania ich w sposób uporządkowany do publicznej wiadomości.

Proponuję coroczne badanie poziomu zadowolenia rodziców uczniów kończących szkołę. Oni mają najpełniejszy ogląd sytuacji i oni jedyni w swojej opinii mogą wziąć pod uwagę także wynik dziecka na egzaminie zewnętrznym. Jako narzędzie badawcze proponuję prostą w formie, anonimową ankietę, wypełnianą w ciągu kilku dni poprzedzających zakończenie roku szkolnego. Zadaniem respondenta byłoby określenie, w skali ocen szkolnych od 1 do 5 (z ewentualnymi „plusami”), poziomu swojego zadowolenia w sześciu obszarach, których nazwy mówią same za siebie: nauczanie, praca wychowawcza, organizacja życia szkoły, relacje międzyludzkie, oferta szkoły, bezpieczeństwo. Ten zestaw parametrów z pewnością nie wyczerpuje wszystkich

możliwości, ale w badaniu nie chodzi o sporządzenie monografii placówki, ale poznanie opinii o niej, opartej na możliwie najprostszym schemacie. Jako siódmy i ostatni punkt ankiety proponuję określenie w tej samej pięciostopniowej skali ogólnego poziomu zadowolenia rodzica z pracy szkoły i jej efektów w ciągu lat nauki dziecka.

Ankiety może przeprowadzić dyrekcja szkoły, choć zapewne z korzyścią dla wszystkich byłoby, gdyby ciężar jej organizacji wzięła na siebie rada rodziców, albo, jeszcze lepiej, rada szkoły, w której zasiadają wszyscy żywotnie zainteresowani jej wynikami. Organizacyjnie wymaga powielenia i rozkolportowania, w najgorszym razie, kilkuset dwustronnicowych druków, stworzenia możliwości wrzucenia ich do zamkniętej urny, policzenia odpowiedzi i ogłoszenia wyników. Rzecz możliwa do zrobienia w każdej placówce.



EWALUACJA ZEWNĘTRZNA

1. Niecierpliwie oczekiwana wizyta miłych gości w szkole, zupełnie nie zakłócająca jej pracy, kończąca się sporządzeniem życzliwego raportu i przyznaniem wiele mówiących literek.
2. Sposób władz oświatowych na zmniejszenie bezrobocia przez zatrudnienie liczego zastępu wizytatorów ds. ewaluacji. Lokalnie skutkuje krótkotrwałym wzmożeniem wysiłku szczęśliwych posiadaczy etatów w placówkach oświatowych. Poza tym bez wpływu na funkcjonowanie polskiego systemu edukacji.

Można z góry założyć, że z różnych względów nie wszyscy rodzice wypełnią ankietę, podobnie jak nie wszyscy obywatele chodzą na wybory. Jeśli jednak zabierze w niej głos chociaż połowa, co wydaje się dość realne (szczególnie jeśli zaangażuje się w to jedna ze szkolnych rad), to wynik będzie można uznać za miarodajny.

Sugerowane przeze mnie rozwiązanie ma jedną fundamentalną przewagę nad zastosowaniem wyniku egzaminacyjnego jako miary jakości pracy szkoły. Otóż z założenia dopuszcza możliwość

uzyskania przez wszystkie placówki wysokiej oceny. Nie odnosi bowiem poziomu satysfakcji rodziców w danej szkole do jakiegokolwiek średniej, tylko odzwierciedla ją w sposób bezwzględny. Ponadto uwzględnia obszary niedostępne badaniu za pomocą testu egzaminacyjnego, a przez to umożliwia uzyskanie wysokiej oceny placówkom, które dobrze troszczą się o słabszych uczniów. Wysoki poziom zadowolenia rodziców może stać się wiarygodną rekomendacją dla osób stojących przed wyborem szkoły, nawet jeśli jej miejsce w rankingu egzaminacyjnym będzie odległe. Jeżeli odpowiednio dużo szkół, publicznych i niepublicznych, zaczęłoby przeprowadzać proponowany tutaj pomiar i publikować jego wyniki, w sposób „oddolny” wprowadzilibyśmy do praktyki szkolnej nowy wskaźnik jakości w edukacji. Miałby on szansę, w pewnym przynajmniej stopniu, złagodzić niektóre objawy testomanii.

Poniżej przedstawiam wzór proponowanej ankiety. Wszystkich zainteresowanych przyłączeniem się do tej inicjatywy i przeprowadzeniem w swojej szkole badania poziomu zadowolenia rodziców zgodnie z opisaną wyżej koncepcją bardzo proszę o kontakt pod adresem pytlak@pytlak.com.pl.

Szanowni Rodzice!

W najbliższych dniach Wasze dziecko ukończy Z tej okazji zwracamy się do Was z prośbą o wypełnienie krótkiej ankiety służącej określeniu poziomu Waszego zadowolenia z pracy naszej Szkoły i uzyskanych efektów.

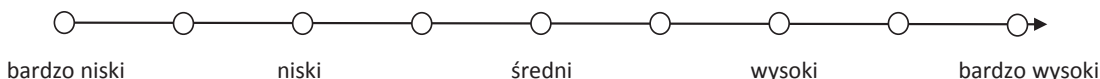
Niniejsza ankieta zawiera sześć wskaźników szczegółowych oraz jeden uogólniony, mający charakter całościowej oceny. Wszystkie można ocenić w skali od 1 (brak satysfakcji) do 5 (pełna satysfakcja), z możliwością wskazania stanów pośrednich (co 0,5 pkt.). Wyboru dokonuje się poprzez wypełnienie (zamalowanie) kółka odpowiadającego właściwej ocenie.

Ankieta jest anonimowa. Wypełnioną bardzo prosimy wrzucić do opieczętowanej skrzynki znajdującej się w do dnia Aby wyniki ankiety dobrze odzwierciedlały rzeczywistość, powinna ją wypełnić większość rodziców, zatem gorąco do tego zachęcamy i bardzo prosimy o współpracę.

/podpis osoby organizującej badanie/

NAUCZANIE – zdobywanie wiedzy i umiejętności, poznawanie świata, rozwój zainteresowań, umiejętność organizowania własnej nauki, wyniki nauczania wyrażone ocenami szkolnymi, wynik egzaminu zewnętrznego, efekty w nauczaniu języka obcego, inne osiągnięcia w dziedzinie nauki.

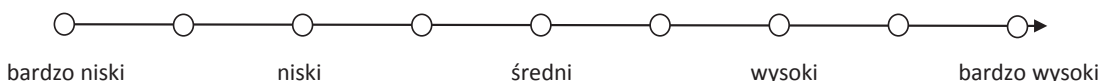
Poziom zadowolenia rodziców:



MIEJSCE NA EWENTUALNY KOMENTARZ:

PRACA WYCHOWAWCZA – kształtowanie postawy ucznia w myśl deklarowanych wartości oraz rozwijanie jego umiejętności społecznych poprzez udział w życiu szkoły, skuteczność różnych form oddziaływań wychowawczych (praca z grupą, kontakty indywidualne).

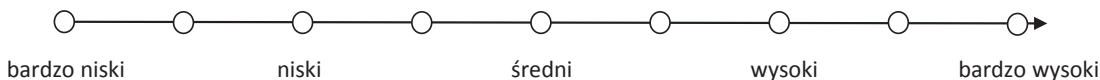
Poziom zadowolenia rodziców:



MIEJSCE NA EWENTUALNY KOMENTARZ:

ORGANIZACJA ŻYCIA SZKOŁY – przepływ informacji, organizacja lekcji oraz zajęć pozalekcyjnych, czytelność obowiązujących reguł i ich przestrzeganie na co dzień, jakość obsługi administracyjnej.

Poziom zadowolenia rodziców:

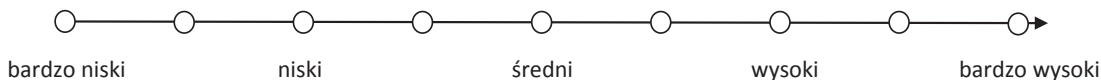


MIEJSCE NA EWENTUALNY KOMENTARZ:



RELACJE MIĘDZYŁUDZKIE – atmosfera w relacjach pracownicy szkoły-uczniowie, rodzice-pracownicy szkoły, relacje pomiędzy uczniami i pomiędzy rodzicami, w klasach i w całej szkole.

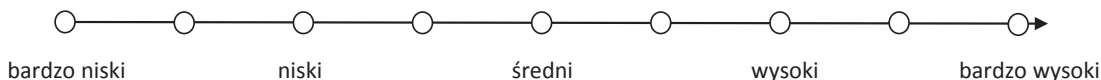
Poziom zadowolenia rodziców:



MIEJSCE NA EWENTUALNY KOMENTARZ:

OFERTA SZKOŁY – zakres i różnorodność oferty kierowanej do uczniów oraz kierowanej do rodziców, wychodzenie naprzeciw potrzebom ucznia i ich zaspokojenie, wychodzenie naprzeciw potrzebom rodziców.

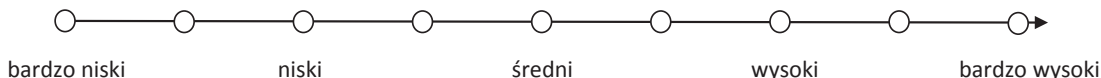
Poziom zadowolenia rodziców:



MIEJSCE NA EWENTUALNY KOMENTARZ:

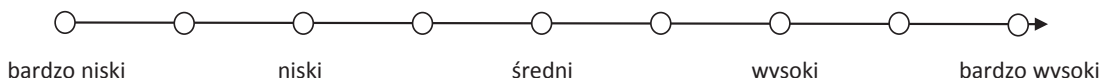
BEZPIECZEŃSTWO – zapewnienie uczniom bezpieczeństwa podczas zajęć organizowanych przez szkołę, poczucie bezpieczeństwa u dzieci, poczucie bezpieczeństwa u rodziców.

Poziom zadowolenia rodziców:



MIEJSCE NA EWENTUALNY KOMENTARZ:

OGÓLNY POZIOM ZADOWOLENIA z pobytu dziecka (efektów pracy dydaktyczno-wychowawczej oraz opieki) w :



MIEJSCE NA EWENTUALNY KOMENTARZ:

DZIĘKUJEMY ZA WYPEŁNIENIE ANKIETY!





Którędy do nowoczesnej szkoły?

Istnieje duża zgodność poglądów co do tego, że wysoka jakość edukacji jest kluczem do sukcesu zarówno całego społeczeństwa, jak i każdego człowieka z osobna. Szczególnie ważną rolę przypisuje się szkole, przy czym ocena jej obecnego funkcjonowania i efektów działania bywa zazwyczaj bardzo surowa. Wciąż rośnie rzesza zwolenników poglądu, że współczesny model tej instytucji jest przeżytkiem minionej epoki. Jednak od postawienia diagnozy do skutecznej terapii droga okazuje się bardzo daleka. Pomysłów jest wiele, ale praktycznych rozwiązań, nadających się do szybkiego wdrożenia nawet na niewielką skalę, zdecydowanie brakuje. Problem zaczyna się już przy próbie określenia, czym jest, lub czym powinna się przejawiać nowoczesność w edukacji.

Osoba zainteresowana bez trudu znajdzie w internecie tysiące głosów w dyskusji na ten temat. Prezentowane wizje są niezwykle różnorodne, można jednak pokusić się o wyróżnienie kilku sfer, w których koncentrują się nowatorskie pomysły. Pierwszą z nich stanowi program i metodyka nauczania. Postuluje się uatrakcyjnienie zajęć szkolnych, wzbogacenie ich o jak najwięcej elementów wymagających twórczego podejścia i rozwiązywania problemów. Wielu dyskutantów wskazuje potrzebę wykorzystania najnowszych osiągnięć nauki w dziedzinie wiedzy o funkcjonowaniu mózgu i sposobach efektywnego uczenia się. Wciąż pojawiają się nowe koncepcje dotyczące pożądanego zakresu wymagań programowych i sposobu ich sformułowania. To ostatnie zresztą do pewnego stopnia znajduje odbicie w kolejnych zmianach podstaw programowych oraz wymagań egzaminacyjnych, wprowadzanych przez władze oświatowe.

Do drugiej sfery należą propozycje zmian w zakresie organizacji pracy szkoły. Bardzo popularny jest pogląd o konieczności odejścia od systemu klasowo-lekcyjnego. Uważa się, że zamykanie uczniów w salach lekcyjnych w reżimie 45-minutowych odcinków czasu pracy jest sprzeczne ze współczesną wiedzą na temat efektywnego uczenia się. Również podział treści nauczania wg klasycznych dyscyplin akademickich nie odzwierciedla obecnej różnorodności dziedzin wiedzy. Wśród pojawiających się propozycji często mówi się o pracy metodą projektów, także interdyscyplinarnych, oraz tworzeniu mieszanych wiekowo grup uczniów pracujących wspólnie nad interesującymi ich zagadnieniami. Swoich zwolenników ma także wizja uczenia się w dowolnym czasie i miejscu.

Niemal wszystkie pojawiające się pomysły dotyczą w jakiś sposób sfery nowoczesnych technologii. Dostrzega się w nich zarówno czynnik wymuszający zmiany – pokolenie tzw. „cyfrowych tubylców” nie może być kształcone w metodami poprzedniej epoki,

jak również doskonałe narzędzie, oferujące dydaktyce fantastyczne możliwości. Dzięki urządzeniom elektronicznym banalnie proste staje się korzystanie z szerokiego wachlarza pomocy naukowych: filmów, prezentacji, animacji itp. Nowoczesne technologie otwierają przed uczniami i nauczycielami wciąż rosnące zasoby internetu, umożliwiają wszechstronną ekspresję twórczą i dzielenie się swoimi wytworami z szerokimi kręgami odbiorców. Ich powszechne wykorzystanie ma sprzyjać z jednej strony samodzielnemu zdobywaniu wiedzy, z drugiej zaś pracy zespołowej, współdziałaniu i dopasowywaniu toku nauki do potrzeb i możliwości ucznia. A na to wszystko ma się nałożyć nowy, prostszy, szybszy i efektywniejszy sposób komunikowania się uczniów i nauczycieli. Naprawdę, rola cyfrowych technologii w wizjach szkoły przyszłości jest trudna do przecenienia.

A trybut nowoczesności dotyczy też osoby nauczyciela. Przestaje on być dla uczniów Źródłem wiedzy, stając się menadżerem ich naukowej aktywności. Ma inspirować i zarażać pasją, wskazywać kierunek i dostarczać zindywidualizowanej informacji zwrotnej,

dbać o pozytywne relacje, a nade wszystko uczyć metod uczenia się i myślenia. A wszystko to, oczywiście, z wykorzystaniem możliwości, jakie dają nowoczesne technologie. Powoli także rodzi się świadomość, że zmiany metodyczne i technologiczne trafiają w pustkę, jeżeli nie będzie im towarzyszyła próba wychowywania nowego człowieka, mającego poczucie autonomii i własnej wartości, stawiającego sobie cele i zdolnego do ich realizacji, prawego i zdyscyplinowanego.



CYFROWY IMIGRANT

Człowiek wychowany w czasach przed upowszechnieniem cyfrowych technologii, obecnie co najmniej trzydziestoletni. Przeciwnieństwo cyfrowego tubylca. Jest rzeczą paradoksalną, że to właśnie cyfrowi ignoranci imigranci decydują dzisiaj o tym, w jaki sposób wykorzystywać cyfrowe technologie w edukacji cyfrowych tubylców.

Mnogość pomysłów na nową szkołę nie przekłada się, jak na razie, na dostrzegalne zmiany w polskiej edukacji. W makroskali można wręcz dostrzec tendencję wsteczną. Takie pomysły, jak ewaluacja zewnętrzna placówek oświatowych, czy jeden podręcznik dla uczniów klas pierwszych nie promują jakkolwiek rozumianej nowoczesności, ale przywracają rozwiązania z poprzedniej epoki. W mikroskali zwraca uwagę znikoma liczba naprawdę oryginalnych koncepcji z sukcesem wprowadzanych w życie w pojedynczych szkołach. Nie mam na myśli lokalnych przypadków wykorzystania nowych technologii – bo tych jest wiele, tak jak wielu jest potencjalnie twórczych nauczycieli, ale chodzi mi o rozwiązania systemowe. Niewiele jest placówek, w których można by dopatrywać się prototypu nowego modelu szkoły. Brakuje ich nawet wśród szkół niepublicznych, które swoje miejsce na rynku starają się umocnić raczej przez szczególnie skuteczne wypełnianie zadań nakładanych przez władze oświatowe, aniżeli wprowadzanie nowych idei.

Co ciekawe, wśród nielicznych placówek wdrażających całościowe koncepcje oparte na cyfryzacji część ma problem z naborem uczniów, albo wręcz upada, nie znajdując zrozumienia w gronie potencjalnych klientów. Być może dążenie do nowoczesności wymaga najpierw przebudowania świadomości społecznej, a może próby wykreowania nowego modelu szkoły w oparciu o nowoczesne technologie obarczone są jakimś błędem,

który uniemożliwia lub utrudnia sukces. Nie przesądzać, gdzie leży prawda, warto zwrócić uwagę na tutoring – stary jak świat, a zarazem w dobie masowej edukacji prawdziwie nowatorski pomysł, który dynamicznie i w sposób najzupełniej oddolny rozprzestrzenia się w polskiej oświacie. O dziwo, dotyczy on sfery wychowawczej funkcjonowania szkoły, bez powiązania z nowinkami technologicznymi. To powinno dawać do myślenia.

Osobiście nie widzę sensu, a nawet możliwości wprowadzania rewolucji w szkole, jestem natomiast zwolennikiem przebudowy jej modelu w sposób ewolucyjny. Uważam, że kluczowym czynnikiem zmiany są ludzie, a nie technologie. Te ostatnie mogą pomóc, ale mogą również zaszkodzić. W kolejnych numerach „Wokół szkoły” postaram się przybliżyć Czytelnikowi swoją wizję nowoczesnej edukacji, o tyle wartą uwagi, że posiadającą już udane wdrożenie. Zaproszę do analizy szans i zagrożeń związanych z zastosowaniem w szkole nowych technologii, poddam pod rozwałę hamletowski niemal dylemat: „uczyć czy wychowywać”, a wreszcie zarysuję najważniejsze elementy mojej koncepcji nowoczesności. Już dzisiaj zapraszam do tej lektury.

W NASTĘPNYCH NUMERACH m.in.:

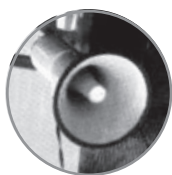
„Pomiędzy misją a usługą”
„Uczyć czy wychowywać?”

CYFROWY TUBYLEC

Człowiek wychowany w otoczeniu cyfrowych technologii. O jego przyszłe losy można zapytać duchy innych tubylców, na przykład, Azteków, Mohikanów albo Aborygenów, ale lepiej nie spodziewać się dobrych wiadomości. A propos: czy Hernán Cortés nie miał przypadkiem na drugie imię Fejsbuk?



Najwyższa forma komunikacji. Cyfrowa imigrantka w bezpośredniej rozmowie z cyfrowym tubylcem.



Aktorzy na scenie szkolnego teatru

Z porównaniem funkcjonowania szkoły do przedstawienia teatralnego, w którym artyści odgrywają codziennie napisane przez kogoś role, zetknąłem się w artykule profesora Aleksandra Nalaskowskiego pt. „Monofonia-polifonia-anachronia programów szkolnych”, opublikowanym w nieistniejącym już czasopiśmie „Amicus”. Urzekła mnie trafność tej paraleli. Autor użył jej w odniesieniu do programów szkolnych, wskazując na ich sztuczność i brak realnego powiązania z życiem, jednak moim zdaniem równie dobrze można ją zastosować do instytucji szkoły w ogóle.

Na scenie szkolnego teatru swoje role odgrywają nauczyciele, uczniowie i rodzice. Treść dramatu zawarta jest w prawie oświatowym, a spektakl reżyserują władze samorządowe i inne organy prowadzące szkoły. Trwające ponad dwieście dni w roku przedstawienie w nikłym tylko stopniu odzwierciedla prawdziwe życie, do którego ma przecież przygotowywać najmłodszych aktorów.

Życie szkoły w stosunku do tego prawdziwego jest niczym lektura szkolna w stosunku do lektury czytanej dla przyjemności. Jest nudnym obowiązkiem, ujętym w okowy schematu. Uczeń ma być grzeczny, bo tak wypada, i pilnie się uczyć, bo podobno jest ze swej natury ciekawy świata. Nieważne, że grzeczność nie jest naturalnym atrybutem młodości, a ciekawość najczęściej dotyczy rzeczy zakazanych, a nie tych, które prezentują dorośli. Nauczyciel ma być opiekuńczy, twórczy, przewidujący, no i oczywiście zarażać pasją. Co z tego, że wielu uczniów jest odpornych na zarażenie, części najzwyczajniej uczyć się nie chce, a dla niektórych, wcale licznych, ważne są tylko stopnie, a nie to, co wynoszą w swoich głowach (nie mówiąc już o duszach). Rodzic ma być pomocny, chociaż zazwyczaj wołałby zająć się swoimi sprawami, a nie zaprzętać sobie głowę nauką dziecka, które w końcu po to chodzi do szkoły, żeby tam się uczyć.

Niestety, przemiana szkoły ze sceny teatralnej, której na deskach „uczy się życia” w miejsce, które „jest samym życiem”, graniczy z niemożliwością. Można jednak przydać odgrywanemu przedstawieniu choć trochę naturalności. W tym celu trzeba jednak najpierw wyzwolić się z pewnych schematów myślowych dotyczących aktorów, postarać się ich dobrze poznać i zrozumieć.

W kolejnych numerach „Wokół szkoły” spróbuję przybliżyć Czytelnikowi współczesne oblicze dzieci, nauczycieli i rodziców. Może uda nam się poprawić chociaż didaskalia w odgrywanym przez nich dramacie.

W NASTĘPNYCH NUMERACH m.in.:

„Rodzicielstwo XXI – misja ekstremalna”

„W pogoni za dobrem dziecka”

„Nauczyciel – postać tragiczna”

Dziecko w Domu Wielkiego Brata

„Pojawiły się tylko trzy nowe rzeczy: komputer, internet, telefon komórkowy. To trzy instrumenty, które rozwijają się tak szybko, że może już za 5–10, najwyżej za 20–30 lat zmienimy się bardziej niż w ciągu całego tysiąclecia” – prognozował kilka lat temu rosyjski futurolog Igor Bestużew-Łada i wszystko wskazuje na to, że miał rację. Warto dodać, że dzięki tym samym instrumentom już zmienił się sposób, w jaki wychowujemy młode pokolenie. Pytanie tylko, czy jest to zmiana na lepsze.

Wielu Czytelników zapewne jeszcze pamięta program zatytułowany „Big Brother”, który jakiś czas temu zyskał ogromną popularność wśród widzów. W specjalnie przygotowanych, odizolowanych od świata pomieszczeniach zamknięto kilkunastu ludzi, których życie codzienne toczyło się w myśl poleceń wydawanych przez niewidocznego, lecz wszechwiedzącego Wielkiego Brata, pod okiem kamer rejestrujących i pokazujących milionom widzów najbardziej nawet intymne sceny z codziennego życia. Na mnie szczególne wrażenie robiły wizyty kolejnych uczestników programu w pokoju zwierzeń, gdzie sam na sam z głosem Wielkiego Brata, choć oczywiście na oczach widzów, komentowali wszystko, co działo się w ich społeczności. Stawka była niebagatelna, bowiem co kilka dni wespół z widzami musieli oni wyeliminować jedną osobę, która przez to swoiste „wygnanie z raj” traciła szansę na wysoką nagrodę pieniężną.

Miliony widzów śledziły zachowanie bohaterów, ze szczególną lubością zaglądając do łazienek i sypialni. Program wzbudził również zainteresowanie poważnych komentatorów: uczonych i publicystów. Niektórzy zwracali uwagę, że uczestników sprowadzono do roli pionków na szachownicy, pozbawionych własnej woli, z głosem Wielkiego Brata zastępującym wewnętrzne drogowskazy moralne. Wskazywali, jak wszechobecność kamer i dążenie do uniknięcia wykluczenia deformowały zachowanie poszczególnych osób, odzierając je, wg skrajnych ocen, z ludzkiej godności. Inni utrzymywali, że miniaturowa społeczność „Big Brother’a” jest po prostu wiernym obrazem współczesnego społeczeństwa, w którym dla korzyści materialnej lub poklasku wielu ludzi gotowych jest porzucić godność i jakiegokolwiek zasady moralne.

Niezależnie od tego, czy mieszkańcy Domu Wielkiego Brata stawali się tacy, a nie inni w rezultacie uczestnictwa w programie, czy tylko ujawniali w nim cechy powszechne w całym społeczeństwie, obraz sytuacji wzbudził mój niepokój. Trudno pogodzić się z wizją rzeszy ludzi pozbawionych własnej woli i sumienia, posłusznie dostosowujących swoje zachowanie do oczekiwań otoczenia i poddanych w tym celu wszechobecnej kontroli.



ROK 1984

Przejmująca powieść George'a Orwella; przedstawia koszmarną wizję świata poddanego totalitarnej władzy. Bajeczka dla grzecznych dzieci w porównaniu z rysującą się już wizją szkoły XXI wieku, zbudowanej na cyfrowych narzędziach oddziaływania i kontroli.

Trudno zachować spokój, gdy orwellowska wizja świata z powieści „Rok 1984” staje się nagle realną perspektywą.

Tymczasem obserwując zmiany, jakie nowe technologie wprowadzają w życie społecznym, odnoszę wrażenie, że wszyscy odpowiedzialni za wychowanie – rodzice, nauczyciele, władze oświatowe – z każdym rokiem, w pełnej, choć

nieuświadomionej zgodzie, czynią coraz więcej, by młode pokolenie już teraz wyrastało w czymś na kształt Domu Wielkiego Brata. I chociaż zupełnie inne jest źródło ich motywacji – swoiście rozumiane dobro dziecka, a nie chęć totalnej nad nim kontroli – w roli Anioła Stróża mogą uczynić równie wielkie szkody, jak wszechogarniający Wielki Brat.

W tym miejscu uczynię dygresję. Jako instruktor harcerski zawsze wpajałem swoim wychowankom, że „zuch jest dzielny”. Człowiek dzielny, to więcej niż odważny. To człowiek, który daje sobie radę z przeciwnościami losu, potrafi przyjmować porażki i podnosić się po nich, nie unika odpowiedzialności, jest zaradny i prezentuje aktywną postawę wobec życia. To ktoś, kto nie sprawia zawodu w trudnej sytuacji. Taki właśnie powinien być zuch, a myślę, że w ogóle każdy człowiek.

Chociaż postęp technologiczny zdaje się czynić naszą egzystencję łatwiejszą, zapotrzebowanie na dzielność wcale nie maleje. Naukowcy prognozują, że w przyszłym społeczeństwie przeciętny człowiek po kilkakroć w życiu będzie musiał zmienić zawód. W związku z tym będzie potrzebował umiejętności szybkiego uczenia się i zdobywania nowych kwalifikacji – co głoszą wszem i wobec współcześni prorocy od edukacji – oraz będzie musiał być dzielny, by poradzić sobie w trudnej sytuacji (przejściowego nawet) bezrobocia. Ale o tym drugim nie mówi nikt.

Jak stać się dzielnym?

W tym miejscu przychodzi mi na myśl przeczytany ongiś w „Polityce” artykuł, poświęcony fińskiej pisarce Tove Jansson. Jej opowieści o Muminkach, uznawane za arcydzieło literatury dla dzieci, zawdzięczają swoją rangę zarówno pięknie zarysowanej bajkowej krainie i jej niezwykłym mieszkańcom, jak mądrym, ponadczasowemu przesłaniu.

(...) Idylliczny świat Muminków pamięta się z lektury czasów dzieciństwa. Kiedy jednak po tę książkę sięga ponownie dorosły człowiek (a tak się często dzieje, bo „Muminki”, choć klasyfikowane jako literatura dziecięca, należą do opowieści, z których się nie wyrasta), uświadamia sobie, że wcale nie jest tak bez troski. Nad Dolinę nadciąga kometa. Dom zalewa powódź. Muminek niespodziewanie budzi się zimą i widzi, że na świecie panuje ciemność i mróz. Wyspa, na której pragnie zamieszkać Tataś Muminka, jest obca i groźna, Hatifnatowie nieprzyjaźni, a w mroku czai się Buka. Lęki Muminków to lęki dziecka, które nosi w sobie również dorosły człowiek, choć nie zawsze się do nich przyznaje. Ale małe zwierzątka nigdy nie stają bezradne wobec grozy.

Magdalena Strzałkowska „Každy jest jaki jest”, Polityka nr 28 (2306), 14.07.2001 r.

Wszyscy mieszkańcy Doliny Muminków są dzielni. A prąźródło tej cechy uważny czytelnik dostrzega w postawie jednej tylko postaci, Mamę Muminka, tej, która „na wszystko ma dobrą radę”. To ona, choć pełna troski, pozostawia swojemu synkowi mnóstwo swobody, wiedząc, że mały Muminek musi wiele przeżyć i doświadczyć różnych niebezpieczeństw, by wyrosnąć na dzielnego dorosłego.

Współczesny rodzic albo nauczyciel stwierdzi raczej, że Mama Muminka jest po prostu nierozsądna, pozwalając dziecku narażać się na niebezpieczeństwo. W podobny sposób nierozsądna była również moja mama, która pozwalała mi spędzać całe dnie na podwórku z kolegami, bez stałej łączności z domem, a nawet bez obowiązku meldowania się co pół godziny pod balkonem. Ale to właśnie swobodna zabawa i zaufanie rodzicielki budowały od najmłodszych lat mój kapitał dzielności życiowej, z którego korzystam do dzisiaj.

Cóż, być może były to inne czasy. Zauważam jednak, że nader łatwo przychodzi nam tłumaczyć różne zjawiska znakiem czasów. Kiedyś było, podobno, bezpiecznie, spokojniej, prościej... Na ile jest to prawda, a na ile złudzenie wywołane bezustanną presją sensacyjnych doniesień medialnych, ocenić mogą tylko naukowcy. Faktem jest, że nie czujemy się bezpiecznie. Paradoksalnie, w takiej sytuacji młodym ludziom szczególnie potrzebna jest dzielność, którą my-dorośli, z powodu swojego... braku poczucia bezpieczeństwa, skutecznie zabijamy nadmiarem opieki. A można inaczej, o czym niedawno przekonała się moja żona.

Przebywając w Hamburgu z wizytą u naszej przyjaciółki Erdmuthe, została zaproszona do kierowanego przez nią przedszkola. Zaobserwowała tam sytuację (dla nas) zadziwiającą. Oto jedno z dzieci z powodu przeziębienia nie mogło bawić się na powietrzu. W związku z tym nauczycielka, wychodząc z grupą na dwór, zostawiła je w klasie, gdzie musiało samo znaleźć sobie zajęcie. Pozostając bez opieki! Rzecz w Polsce nie do pomyślenia, nawet gdyby chodziło o gimnazjalistę! Tymczasem Erdmuthe nie była w stanie zrozumieć, w czym miałby tkwić problem. Przecież nie będzie trzymać grupy cały dzień w pomieszczeniu tylko dlatego, że jeden przedszkolak nie może wyjść na dwór!

Dziecku oczywiście nic się nie stało, bowiem przebywało w znanym sobie i bezpiecznym otoczeniu, a równocześnie otrzymało cenną lekcję samodzielności i odpowiedzialności. Dzielność jest córką tej pierwszej i siostrą drugiej. Rozwija się, gdy młody człowiek działa samodzielnie i odczuwa choćby niewielki ciężar odpowiedzialności za swoje postępowanie.

Tyle dygresji, wracamy teraz do Domu Anioła Stró..., przepraszam, do Domu Wielkiego Brata.

Nic tak nie przeorało życia społecznego, jak wynalazek telefonu komórkowego. Urządzenie to po raz pierwszy w dziejach umożliwiło ludziom pozostawanie w stałym kontakcie. Definitywnie przeszła do historii tęsknota Tristana za Izoldą, listy Sobieskiego do Marysienki i niecierpliwe oczekiwanie Romea na kilka słów rzuconych z balkonu przez Julię. Teraz wszyscy mieszkamy w jednej wiosce, odlegli od siebie o wystukanie kilku znaków na klawiaturze.

W ciągu mniej niż dziesięciu lat mobilne telefony wrosły w rzeczywistość, także szkolną. Kiedy proszę o użycie kalkulatora do obliczeń nie dziwi mnie, że uczniowie sięgają po komórki. Regulamin wciąż nakazuje wyłączenie telefonu podczas zajęć i nakłada inne ograniczenia na korzystanie z niego na terenie szkoły, ale są to ostatnie już rubieże obrony. Zresztą, przynajmy uczciwie, nauczycielom też zdarza się zapomnieć o wyciszeniu aparatu przed lekcją, nie mówiąc już o nagannych przypadkach prowadzenia rozmów telefonicznych w trakcie zajęć. Telefon komórkowy zniewolił wszystkich.

Młodzi ludzie posługują się komórką – dzisiaj coraz częściej bardziej zaawansowanym technicznie smartfonem – równie swobodnie, jak starsze pokolenie długopisem. Jest ona po prostu częścią ich świata. Rodzice, jak większość dorosłych, doceniają korzyści płynące z nowej technologii i starają się nadążyć. Jeśli nawet nie stukają SMS-ów w podobnie ekspresowym tempie co ich pociechy i nie potrafią z równą łatwością surfować po internecie, w jednym niewątpliwie doszli do perfekcji – w wykorzystaniu komórek do wzmożenia opieki nad dziećmi. Te małe urządzenia stały się dla młodego pokolenia zarazem głosem Wielkiego Brata i pokojem zwierzeń, gdzie można powiedzieć wszystko i wszystko zostanie wysłuchane.

Nie widzę sensu walki z wynalazkiem, który tak wiele ułatwia w życiu. Czuję się jednak w obowiązku głosić słowa przestrogi, gdy jego nieumiejętne wykorzystanie przynosi ewidentne szkody. A tak właśnie dzieje się, moim zdaniem, w dziedzinie wychowania. Telefon komórkowy stał się, na naszych oczach, gwoździem do trumny, w której wspólnie układamy dziecięcą dzielność.

Im bardziej ktoś jest zapracowany i mniej ma czasu dla dziecka, tym częściej dzwoni, by dowiedzieć się, co słychać. „Gdzie jesteś, kochanie?”, „Co teraz robisz?”, „Kiedy wrócisz?”, „Czy pamiętasz, że...” – to tylko kilka z długiej listy typowych pytań troskliwego rodzica. Brzmiałyby zupełnie niewinnie. Jeśli jednak powtarzają się każdego dnia, skutecznie osłabiają poczucie samodzielności. Nadużywane stają się protezą rodzicielskiej opieki, służącą raczej uspokojeniu dorosłego niż pożytkowi dziecka. A przy okazji w każdym z nich kryje się jakaś pułapka.

„Gdzie jesteś, kochanie, co robisz?” – „Właśnie wchodzę do biblioteki” – może odpowiedzieć nastolatek, faktycznie zajęty odbijaniem kapsla z flaszki z alkoholem. Trzeba mieć zaufanie do dziecka, by wierzyć w odpowiedź na tak zadane pytanie. Ale jeśli ma się zaufanie, to po co pytać?

Powiesz, że pytanie świadczy o zainteresowaniu i trosce, a odpowiedź zaspokaja ciekawość i upewnia, że nic złego się nie dzieje. Cóż, moim zdaniem służy głównie poprawieniu samopoczucia dorosłego. Nie zawsze się to zresztą udaje. Bywa, że dziecko nie odbiera telefonu. I co wtedy? Wiem z własnego ojcowskiego doświadczenia – irytacja, nerwy, obawa, a na końcu wymówki. W sumie jasne przesłanie – jeśli chcesz zadowolić dorosłych, musisz mieć swoją elektroniczną smycz cały czas włączoną i meldować się na każde żądanie. Zaiste, piękna szkoła samodzielności!

Inaczej wygląda sytuacja z małymi dziećmi. One naprawdę potrzebują kontaktu z rodzicami, choćby telefonicznego, i oczekują nań z utęsknieniem. Jednak i w tym wypadku

medal ma drugą stronę. Rozłąka jest, sama w sobie, dobrą szkołą dzielności. Jeżeli zabieram małe dzieci na dłuższe wycieczki i letnie obozy, czynię tak w przeświadczeniu, że jest to korzystne dla ich rozwoju. Większość dzielnie znosi rozłąkę i świetnie się bawi, ale czasem wystarczy głos rodzica w telefonie, szczególnie w jakimś kryzysowym momencie (a te zdarzają się każdemu maluchowi), by dziecko w ułamku sekundy wpadło w otchłań tęsknoty i rozpacz. Niestety, rozmowa telefoniczna kończy się i to ja pozostaję z delikwentem, którego muszę potem mozolnie „odginać”. Dlatego uważam, że małe dzieci nie powinny zabierać na wyjazdy swoich komórek, tylko kontaktować się z rodzicami przez telefon wychowawcy i to wyłącznie we wcześniej umówionym czasie.

Kolejne pytanie – „Kiedy wrócisz?”. To należało raczej uzgodnić zawczasu. Obserwuję, że łatwy kontakt telefoniczny bardzo zmniejszył poczucie odpowiedzialności za podejmowane uzgodnienia. Moja młodsza córka jest tego doskonałym przykładem. Dzwoni chwilę przed umówionym terminem powrotu i informuje, że „trochę się spóźni, ale wszystko jest w porządku”. A ty, rodzicu, cieszysz się, że dziecko jest bezpieczne, zamiast po prostu stanowczo wymagać, by bez żadnego telefonowania punktualnie wróciło do domu...

„Czy pamiętasz, że...?”. Pisząc ten artykuł indagaowałem moich przyjaciół, jak często dzwonią do swojego piętnastoletniego syna. Odparli, że rzadko, „najwyżej kilka razy w tygodniu”. Już miałem im pogratulować telefonicznej wstrzemięźliwości, kiedy dodali: „w tym zawsze we wtorek, przypomnieć, żeby nie spóźnił się na trening tenisa”. No, proszę! Nie dość, że fundują chłopakowi zajęcia, to jego nie stać na to, by zjawić się na nie z jakąś punktualnością?! Jeśli zdarzyło mu się już wcześniej spóźnienie, czy nie należałoby po prostu stanowczo wymagać, by następnym razem był punktualny? Telefon z pytaniem „Czy pamiętasz?” zdejmuję z niego odpowiedzialność! Jeżeli ma problem z pamiętaniem o obowiązku, może przecież nastawić sobie budzik... w telefonie!

Wszystkie opisane dotąd sytuacje należą do kategorii „Komórka jako głos Wielkiego Brata”. Budowaniu dzielności przeszkadzają, ale nie czynią dramatycznej szkody wychowawczej. Znacznie gorzej jest, gdy telefon komórkowy w rękach dziecka zamienia się w pokój zwierzeń.

Jakkolwiek schyłek mojej wieloletniej kariery instruktora harcerskiego był efektem splotu różnych okoliczności, telefony komórkowe też odegrały w nim swoją rolę. Opisałem to ongiś w taki oto sposób:

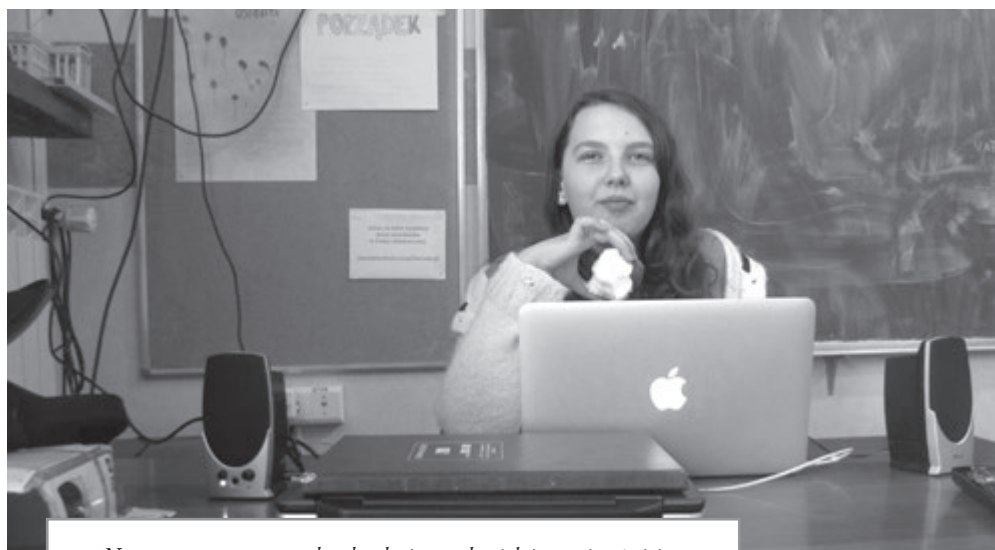
Nieważne, czy jest to jednodniowa wycieczka, czy trzytygodniowy obóz – łączność dziecka z rodzicami trwa on-line. Trafila mi się „czarna warta” na obozie? Dostałem „karniaka” od oboźnego? Jest mi smutno, źle, nogi mnie bolą, a namiot jest wilgotny? Jeden telefon i już... mogę swoją frustrację przelać na mamę albo tatę. Ilu współczesnych rodziców w takie sytuacji powie: „Córko (synu)! Pojechałaś na obóz, aby wykazać się dzielnością, zaradnością, dobrym humorem – i tego od ciebie oczekuję! Nie zavracaj mi głowy swoimi smutkami, bo i tak ci nie mogę pomóc! Nie dzwoń do mnie więcej – porozmawiamy, gdy wrócisz. Liczę na ciebie, nie spraw mi zawodu!”. Zamiast tego zaniepokojony rodzic wykonuje telefon do drużynowego: „Panie Pytlak, dlaczego moja córka chce wracać do domu?! Proszę coś z tym zrobić!”. Albo

„Podobno mój syn ma mieć wartę o piątej rano, a on umówił się z kolegami na inny podział wart. Czy wie Druh coś na ten temat?”. I tłumacz, człowieku, że córka chce wracać do domu, bo właśnie pokłóciła się z koleżankami z namiotu, o czym pewnie do jutra zapomni, grafik wart nie jest koncertem życzeń, tylko ustalany jest przez oboźnego, a w ogóle życie obozowe, to nie nieprzerwany ciąg przyjemności, ale specyficzna mieszanka zabawy i obowiązku, ubrana w dodatku w otoczkę dyscypliny, której dzieci na co dzień nie znają...

W tym przypadku inicjatorem kontaktu jest dziecko. To ono dzwoni, aby wyzalić się, poszukać wsparcia, w skrajnym przypadku – zażądać natychmiastowej pomocy. Jak w pokoju zwierzeń – cokolwiek powie będzie wysłuchane. I to jest dopiero niebezpieczne.

Dzieci używają komórek do rozwiązywania swoich problemów, także tych, z którymi gwoździ nabywania dzielności powinny poradzić sobie same. Młodzi ludzie oczekują dzisiaj pomocy w każdej trudnej dla nich sytuacji, a nadto czynią to w sposób zaborczy. „Mamo, skaleczyłam się w palec” – lka do słuchawki dziesięcioletnia uczestniczka szkolnej wycieczki, bez refleksji, że odległa o dwieście kilometrów matka, zajęta pracą, nie tylko nie może jej pomóc, ale nadto sama pozostanie po takim telefonie cała w nerwach, że dziecku dzieje się krzywda. Pół biedy, jeśli odpowie córce: „To idź do wychowawcy i poproś o pomoc”. Lepiej, gdy zapyta: „A powiedziałaś o tym wychowawcy?” i nakaze to uczynić, jeżeli usłyszy odpowiedź przeczącą. Najpewniej jednak sama zadzwoni do opiekuna, żeby poprosić o interwencję.

Znam to z własnego doświadczenia – siedzę sobie spokojnie, dzieci się bawią i nic nie zwiastuje kłopotów, gdy nagle dzwoni telefon i zdenerwowany głos informuje mnie, że Ania skaleczyła się w palec i prosi, żeby „coś z tym zrobić”. Oczywiście sprawdzam, opatruję i dopiero później stawiam sobie pytanie, dlaczego ta nieszczęsna Ania nie przyszła od razu do mnie. Wy tłumaczenie jest proste – dzięki komórce do mamy miała bliżej. A kochająca mama użali się, zamiast zbesztać za szukanie pomocy w telefonie, a nie u wychowawcy.



Nawet otoczony zewsząd technologią – człowiek jest najważniejszy

Winnym scenariuszu Ania odpowiada mamie: „Już prosiłam o pomoc...”. „I co?!”. „I nic!!!”. Poziom zaufania w naszym społeczeństwie jest tak niewielki, że wizja leniwego wychowawcy, któremu nie chce się zainteresować nieszczęściem dziecka, będzie pierwszą, która przyjdzie do głowy zdenerwowanej matce. I znowu telefon do mnie, tym razem z gniewnym żądaniem wyjaśnień. Tłumaczę więc pokornie, że skaleczenie jest mikroskopijne, że przemyłem wodą utlenioną i pewnie szczypie, że nie robię problemu z tego wydarzenia, bo nic złego Ani się nie stało, że dziecko po prostu tęskni i korzysta z okazji, aby ściągnąć na siebie uwagę mamy...

No i teraz zdenerwowani jesteśmy już oboje.

Zdają sobie sprawę, że opiekunowie bywają różni i nie każda reakcja na jakieś zdarzenie zaspokaja potrzeby dziecka. Podobnie jak nie każdy nauczyciel, który je uczy musi być kochany, najsprawiedliwszy na świecie, sympatyczny. Młody człowiek potrzebuje różnych doświadczeń, aby dobrze przygotować się do roli dorosłego. Sterowanie otoczeniem dziecka przez telefon komórkowy nie jest dobrym wyrazem troski o jego wychowanie. A już na pewno jest zabójcze dla dzielności.

Wopisanym tutaj zdarzeniu Ania doznała urazu, mogę więc jeszcze zrozumieć zdenerwowanie matki. Dzieci jednak korzystają z pokoju zwierzeń również w sytuacjach, które w ogóle nie powinny budzić emocji lub, po prostu, dla zaspokojenia swojej zachcianki. W naszej szkole słyszymy niemal codziennie:

„Zapomniałem zeszytu do matematyki – przywieź mi!”. Często nawet bez „proszę” na końcu. I ktoś z rodziców przywozi. I jeszcze przeprasza, że tak długo to trwało.

„Nie ma dzisiaj informatyki, odbierz mnie wcześniej!” – tutaj załącznik w postaci „proszę” pojawia się jeszcze rzadziej. I część dorosłych pokornie organizuje wcześniejsze wyjście ze szkoły, nawet kosztem własnych planów, choć spędzenie wolnej godziny w świetlicy z pewnością nie przyniosłoby dziecku żadnej szkody.

„Dzisiaj wychodzę ze szkoły z Kamilą i będziemy się u niej bawić”. W tym przypadku zaskoczeni rodzice częściej stawiają opór, ale bywa, że w następstwie takiego komunikatu rozpoczynają gorączkowe poszukiwania kontaktu z mamą lub tatą Kamili. Trzeba przecież ustalić szczegóły wizyty, czym dziecko nie zaprzatnęło sobie głowy, bo w końcu od czego ma się rodziców?!

Podobne przykłady wykorzystania telefonu komórkowego do zaspokajania zachcianek dziecka mógłbym mnożyć długo. I jeśli porównanie komórki do pokoju zwierzeń nie jest stuprocentowo trafne, to tylko dlatego, że uczestnicy programu „Big Brother” prezentowali zdecydowanie więcej respektu wobec Wielkiego Brata, niż dzieci okazują zazwyczaj w rozmowach ze swoimi rodzicami.

Jest jeszcze jedna różnica pomiędzy pokojem zwierzeń a telefonem komórkowym. Uczestnicy programu mogli zwierzać się Wielkiemu Bratu tylko w ściśle określonym czasie, podczas gdy dziecko może zadzwonić do mamy lub taty właściwie zawsze. Mało który kochający rodzic zbeszta swoją pociechę za telefon w porze, w której szkolny regulamin zabrania dzwonienia, albo w której sam jest zajęty. Przecież, jeśli dziecko dzwoni,

to z pewnością ma ważny powód, wystarczający nawet, by złamać regulamin, albo przeszkodzić rodzicowi w pracy. A dla dziecka każdy powód jest wystarczający.

Ta ciągła dostępność telefonicznego pokoju zwierzeń sama w sobie może nadawać problemom większą rangę, niż na to zasługują, a rodzicom przysparzać dodatkowych zmartwień. Oto przykład.

Dziewczynki w wieku 11–12 lat bywają wyjątkowo wrażliwe na swoim punkcie. Bardzo łatwo im dokuczyć, urazić. Zaczynają już marzyć o księciu z bajki, tymczasem w otoczeniu mają głównie niedojrzałych emocjonalnie kolegów, którzy, jeśli nawet interesują się koleżankami, to zupełnie nie potrafią tego odpowiednio wyrazić. Niezdarne próby okazywania zainteresowania ze strony chłopców w tym wieku uzyskały nawet złośliwą nazwę „końskich zalotów”. Są to najczęściej różnego typu zaczepki, słowne lub fizyczne, które zalotnikowi wydają się śmieszne, choć dla obiektu uczuć okazują się przykre i bolesne. Zdarzają się w każdym środowisku, a doświadczenie pedagogiczne uczy, że rzadko prowadzą do jakichś długotrwałych konfliktów.

W naszym przykładzie podczas przerwy między lekcjami zdarza się właśnie taka zaczepka, wyjątkowo złośliwa. Ofiara z płaczem sięga po telefon i dzwoni do mamy lub taty. W pokoju zwierzeń opowiada o swoim nieszczęściu i słucha słów pociechy. W końcu uspokaja się i po wyłączeniu telefonu, w dziewięciu przypadkach na dziesięć, zapomina o sprawie, albo przynajmniej nabiera do niej zdrowego dystansu. W tym czasie rodzic, któremu córka przez telefon powiedziała niewiele, za to w ogromnych emocjach, pozostaje w poczuciu, że zaistniało nieszczęście. To przeświadczenie towarzyszy mu przez cały dzień, stopniowo potęgując napięcie emocjonalne. Wreszcie rodzina spotyka się w domu i... rozpoczyna się szarpanie zabliźnionej już rany. „Co powiedział?”, „Kiedy?”, „Co ty odpowiedziałaś?”, „A wtedy co on zrobił?” – i tak, pytanie po pytaniu, zdarzenie z gatunku tych, które pomiędzy dziećmi zachodziły, zachodzą i z całą pewnością będą zachodzić w przyszłości, zaczyna żyć własnym życiem.

W opisanym przykładzie nie jest problemem, że dziecko podzieliło się swoim kłopotem z jednym z rodziców. Problem tkwi w tym, że mogło to zrobić natychmiast, bez czasu niezbędnego dla nabrania dystansu do zdarzenia.

Nie liczę na to, że dzieci przestaną dzwonić do rodziców, by uzyskać pomoc, wsparcie, czy choćby zaspokoić swoją zachciankę. W końcu są dziećmi, co wiele usprawiedliwia. Chciałbym tylko, aby dorośli reagowali w sposób wyważony i przemyślany i pod wpływem chwilowych emocji nie tracili z oczu naprawdę ważnego celu wychowawczego – by dziecko wyrosło na dzielnego człowieka.

Cały ten wywód podsumuję hasłem, które chętnie dopisałbym na tablicach reklamowych, głoszących swego czasu wszem i wobec na ulicach polskich miast, w ramach kampanii społecznej, że „Kocham – nie biję!”.

„Kocham – nie dzwonię bez potrzeby!”

Dedykuję to rodzicom i dzieciom.

Majowe emocje

Koniec maja to czas wyjątkowych emocji w życiu rodziców, uczniów i nauczycieli, szczególnie tych ze szkół podstawowych. Najpierw świętuje się Dzień Matki, potem wszystkim wzrasta ciśnienie z powodu wyników sprawdzianu szóstoklasisty, jak raz ogłaszanych przez Centralną Komisję Egzaminacyjną w ostatnich dniach tego miesiąca. Jedna i druga okazja stanowi ucztę dla mediów, które mogą w tym czasie wykazać się szczególnym zainteresowaniem sprawami edukacji i wychowania.

Zacznijmy od matek-Polek. Jeśli przyjąć, że prasa prezentuje wierny obraz rzeczywistości, to ich stan ducha należy uznać za fatalny. Tytuły mówią same za siebie, na przykład: „Jak być matką i nie zwariować” („Wprost”, nr 22/2014), „Koniec świata supermatki” („Newsweek”, nr 22/2014). Jeżeli prezentowany w niniejszym numerze „Wokół szkoły” obraz edukacji wydaje się komuś zbyt ponury, nie znajdzie również ukojenia czytając mainstreamowe artykuły o współczesnych dzieciach, rodzicach i rodzinach. Z okazji Dnia Matki powinno być miło i optymistycznie, ale nie jest i bardzo możliwe, że nie jest to czarnowidztwo dziennikarzy, ale zwierciadło duszy społeczeństwa.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że wielu rodziców nie radzi sobie ze światem, który został pozbawiony jakiegokolwiek naturalności. Nie chodzi wyłącznie o przekształcenie środowiska przyrodniczego, ale także społecznego, które powoduje, że wychowanie młodego pokolenia straciło swój tradycyjny kontekst kulturowy, a stało się zadaniem heroicznym, wymagającym wymyślania wszystkiego od nowa. Zazwyczaj pod dyktando legionu Wujków Dobra Rada, którzy tylko czyhają, by sprzedać nieszczęsnym rodzicom jakiś towar lub pomysł (który zresztą jest dzisiaj również towarem). A jeśli nawet materiał prasowy zdaje się pełnić wyłącznie funkcję informacyjną, to i tak nie poprawia samopoczucia czytelników. Oto we wspomnianym wyżej numerze „Newsweeka” znalazł się artykuł Doroty Romanowskiej o przyciągającym uwagę tytule „Pochwała brudu”, w którym czytamy:

Dr David P. Strachan, epidemiolog z londyńskiego St. George's Hospital Medical School (...) w prestiżowym czasopiśmie medycznym „British Medical Journal” sformułował (...) tzw. „hipotezę higieniczną”.

Zakłada ona, że od pierwszych chwil życia potrzebujemy mikrobow. Kontakt z nimi jest niezbędny, by układ odpornościowy nauczył się chronić nasz organizm przed zagrożeniem. – Bakterie, grzyby i inne drobnoustroje, które uważamy za złe, są częścią środowiska. Jedynie żyjąc z nimi, mamy szansę rozwijać się prawidłowo – mówi Michael Zasloff, immunolog z Georgetown University Medical Center. Organizm wystawiony od wczesnego dzieciństwa na działanie różnych mikrobow uczy się, które są dobre, a które złe. Z tej wiedzy korzysta potem przez całe życie.

W konkluzji dowiadujemy się, że eliminowanie z otoczenia dziecka naturalnych czynników chorobotwórczych wydaje się być przyczyną różnych rodzajów alergii i innych chorób związanych z wadliwym działaniem układu odpornościowego. A więc nie tylko wycinanie lasów tropikalnych, zanieczyszczenie wód i skażenie gleby, ale także... nadmiar czystości jest niebezpiecznym przejawem przekształcenia środowiska przyrodniczego.

A teraz – to już moja własna inicjatywa – spróbujmy powyższy fragment artykułu przerobić, stawiając inną hipotezę, którą nazwę „opiekuńczą”:

Zakłada ona, że od pierwszych chwil życia potrzebujemy pewnej dawki dyskomfortu. Kontakt z nim jest niezbędny, by układ nerwowy nauczył się prawidłowo reagować na stres, pobudzając organizm do działania. Poczucie braku, frustracja, które uważamy dzisiaj za złe, i przed którymi ze wszystkich sił staramy się chronić dzieci, są częścią naturalnego środowiska społecznego. Jedynie żyjąc z nimi, mamy szansę rozwijać się prawidłowo – mówi Jarosław Pytlak, pedagog z Warszawy. Człowiek wystawiony od wczesnego dzieciństwa, w bezpiecznym skądinąd środowisku rodzinnym, na działanie różnych czynników stresogennych uczy się na nie reagować w sposób akceptowalny społecznie. Z tej wiedzy korzysta potem przez całe życie.

Nie potrafię przytoczyć wyników badań naukowych na poparcie „hipotezy opiekuńczej”, jednak znajduje ona pełne potwierdzenie w moim doświadczeniu. Wychowujemy pokolenie dzieci „przezaopiekowanych”, które z tego powodu prezentują brak szacunku dla innych ludzi, bo wszyscy są na ich usługi, przedsiębiorczości, bo wszystko w ich życiu jest wyreżyserowane i nastawione na osiągnięcie z góry założonego efektu, i odpowiedzialności, bo wszystko, co ich dotyczy jest narzucone i kontrolowane przez dorosłych. W ten właśnie sposób przejawia się zgubny wpływ przekształcenia naturalnego środowiska społecznego, co już można dostrzec w młodym pokoleniu, a będzie – obym był złym prorokiem – tylko gorzej, gdy to pokolenie przestanie być młode.

Brak naturalności we współczesnym świecie posunął się tak daleko, że zwolennicy przywrócenia dzieciom naturalnego, to znaczy odpowiednio niehigienicznego i nieuporządkowanego środowiska zabawy budują sztuczne place zabaw, wyglądające, wypisz-wymaluj, jak otoczenie śmietnika, obok którego spędzałem szczęśliwe lata dzieciństwa na zabawie z kolegami. Sztuczne tworzenie naturalnego otoczenia – obawiam się, że w świecie w ten sposób urządzonym tradycyjne pojęcie zdrowia psychicznego trzeba będzie poddać głębokiej rewizji!

Teraz kilka zdań na temat wyników sprawdzianu. Zamykając niniejszy numer „Wokół szkoły” w dniu ich ogłoszenia nie mogę, niestety, przytoczyć medialnych komentarzy. Wiadomo, że średni wynik w kraju wyniósł 25,82 pkt, aż o 1,79 pkt. więcej niż rok temu. Można oczekiwać, że wśród opinii pojawi się zadowolenie z lepszego wyniku uzyskanego przez tegorocznych szóstkłasiaków. Ja jednak już pół roku temu wywróżyłem, że wypadną oni wyjątkowo dobrze, a ich średni wynik wyniesie 25,8 pkt. Jak zdołałem uzyskać tak wysoką trafność moich przewidywań? Dlaczego sprawdzian dostarczający części uczniów dużej dawki tak wskazanej skądinąd frustracji, uważam jednak za szkodliwy? W jaki sposób państwo w majestacie prawa organizuje dzieciom wyścig szczurów? I dlaczego uważam, że moglibyśmy spokojnie obejść się bez tej części majowych emocji – o tym wszystkim napiszę w kolejnym numerze „Wokół szkoły”, w artykule pt. „Testomania – czarna śmierć edukacji XXI wieku”.



Dokument inny niż wszystkie

Tak się złożyło, że musiałem ostatnio w trybie awaryjnym zatrudnić na zastępstwo nauczyciela języka polskiego. Jego pierwszym pytaniem na temat przyszłych obowiązków było: „Czy poprzedni nauczyciel opracował plan wynikowy?”. Odpowiedź przecząca wywołała lekki szok u mojego rozmówcy. Tymczasem mnie wcale nie zdziwiło, że nie zapytał on ani na początku rozmowy, ani w ogóle, o misję szkoły, o program wychowawczy, o cokolwiek, z czego wynikałoby, jakimi wartościami rządzi się i jak funkcjonuje placówka, w której podejmuje pracę. Już dawno przekonałem się, że w polskiej szkole liczy się przede wszystkim to, co nauczyciel sam robi na powierzonym mu odcinku.

Trudno przecenić rolę, jaką w naszej oświacie przypisuje się nauczycielom. Widać ją doskonale w treści aktów prawnych, publicystyce, a nawet w ofercie szkoleniowej rozmaitych ośrodków doskonalenia. W coraz lepszej pracy nauczycieli upatruje się głównego motoru postępu. Oczekuje się, że będą prowadzić atrakcyjne zajęcia, odkrywać talenty, kształcić olimpijczyków, dążyć do jak najlepszych wyników uczniów na egzaminach zewnętrznych, skutecznie wspierać dzieci ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi. Długo by wymieniać, co jeszcze...

Funkcjonowanie szkoły jawi się jako suma jednostkowych aktywności zatrudnionych w niej nauczycieli. Istnieją, co prawda, różne formy pracy zespołowej, swoje kompetencje ma rada pedagogiczna, zespoły przedmiotowe, ale to co najważniejsze dzieje się wokół każdego stanowiska pedagogicznego z osobna. Takie podejście rozpowszechniło się w minionym ćwierćwieczu jako reakcja na model szkoły z czasów PRL-u, kiedy nauczyciel stanowił zaledwie trybik w wielkiej maszynie zaprogramowanej na tworzenie nowego, socjalistycznego człowieka. Jego zadaniem było wówczas dokładne realizowanie obowiązujących wytycznych zarówno w dziedzinie programu, jak metodyki pracy. Obecny stan rzeczy jest z pewnością lepszy, choćby z tego powodu, że człowiek wyposażony w autonomię pracuje w sposób bardziej twórczy, a zatem potencjalnie bardziej efektywny. Powstaje jednak pytanie, czy zespół złożony z największych nawet osobowości nauczycielskich, skoncentrowanych na własnym warsztacie pracy, może osiągnąć w swojej szkole sukces pedagogiczny?

Odpowiedź będzie pozytywna, jeśli przyjmiemy, zgodnie z dość rozpowszechnionym poglądem, że szkoła powinna przede wszystkim uczyć. Pod opieką świetnych nauczycieli, nawet indywidualistów, każdy uczeń może zdobyć solidne wykształcenie i w ten sposób położyć podwaliny pod swoją życiową karierę. Będzie to z pewnością sukces, co najmniej dydaktyczny.

Jednak twierdząca odpowiedź stanie się mniej oczywista, jeśli funkcję szkoły potraktujemy szerzej. W warunkach niemal nieograniczonego dostępu do wiedzy priorytet dla uczenia wydaje się niezbyt adekwatny. Dzisiaj każdy może korzystać z różnych źródeł informacji, znajdujących się na wyciągnięcie ręki, przede wszystkim w internecie, ale również w telewizji, zbiorach bibliotecznych, coraz atrakcyjniejszych muzeach i wielu innych miejscach. Problemem nie jest dotarcie do nich, ale wykształcenie u młodych ludzi chęci i umiejętności stawiania sobie celów poznawczych, a przy okazji życiowych. Tutaj kryje się prawdziwy sukces pedagogiczny we współczesnej edukacji, a jest on bardziej materią pracy wychowawczej niż dydaktyki.

Świat stawia dzisiaj młodych ludzi przed wieloma wyzwaniami. Grozi im zagubienie w oceanie informacji, brakuje im wzorców postępowania – bo dorośli bywają jeszcze bardziej zagubieni – i autorytetów. Pedagogika nie dostarcza jednoznacznej odpowiedzi, jak radzić sobie z tymi problemami. Wydaje się jednak, że można jej szukać w zakotwiczeniu młodych w pewnym systemie wartości. I znowu mówimy raczej o wychowaniu, a nie o dydaktyce.

Powie ktoś, że każdy nauczyciel jest jednocześnie wychowawcą. To prawda. Każdy w swojej pracy z uczniami reprezentuje wobec nich jakieś wartości i mniej lub bardziej świadomie stara się je przekazywać. Ale skuteczność tego przekazu w dużym stopniu zależy od jego spójności w ramach całego zespołu pedagogicznego. Trzeba najpierw uzgodnić wspólny katalog wartości, a potem ustalić, jakie działania – zarówno zespołowe, jak i każdego nauczyciela z osobna – najlepiej posłużą krzewieniu ich wśród uczniów. W ten sposób powstaje program wychowawczy szkoły. Można go jeszcze uzupełnić o tzw. „sylwetkę absolwenta”, jednak trzeba bardzo uważać, bowiem pokusa nakreślenia niezwykle bogatej charakterystyki ideału jest niezwykle silna. Ze szkodą dla realizmu.

Potrzeba spójności przekazu wyklucza pozostawienie kwestii wartości do indywidualnego uznania poszczególnych nauczycieli, choćby byli najwspanialszymi ludźmi i najbardziej magnetycznymi osobowościami. Szkoła musi być jednolitym środowiskiem wychowawczym, w którym nauczyciele bez wyjątku grają w tę samą grę i w tym samym zespole. Takie podejście przynosi też dodatkową korzyść. Otóż warto pamiętać, że żadne zapisy prawne, deklaracje polityczne, ani najszerzej nawet zakrojone szkolenia nie spowodują, że nagle wszyscy staną się wspaniałymi osobowościami. Wielu zapewne nigdy na to miano nie zasłuży. Ale w zespole, w którym zasady działania są uzgodnione i uporządkowane w świetle przyjętego systemu wartości, także słabsi nauczyciele będą pracowali skutecznie. Funkcjonowanie dobrej, wychowującej szkoły nie opiera się bowiem na indywidualnych wyczynach, ale na synergii wynikającej ze zbiorowego wysiłku całego grona pedagogicznego.

Przemiany, jakie zaszły w polskiej oświacie w ciągu ostatniego ćwierćwiecza przyniosły zespołom pedagogicznym prawo tworzenia własnych programów, obejmujących dziedzinę nauczania i działalność wychowawczą. Tymczasem już pobieżna lektura programów wychowawczych, które różne szkoły publikują na swoich stronach internetowych wskazuje, że jest to niewykorzystana szansa. Zdecydowana większość tych dokumentów to rutynowe roczne plany pracy, zawierające cele, zadania, osoby

odpowiedzialne itp. Przydatne w codziennym kierowaniu szkołą, ale nie mające charakteru wszechstronnej i długofalowej wizji, opisującej działalność edukacyjną placówki.

W szkole, którą kieruję, już blisko dwadzieścia lat temu stworzyliśmy pierwszą wersję dokumentu, który w sposób całościowy opisywał jej funkcjonowanie – nakreślał cele, wskazywał metody ich realizacji, opisywał przyjęte rozwiązania organizacyjne. Łączył w sobie elementy programu nauczania, programu wychowawczego, a nawet programu profilaktycznego. Był, i jest zresztą do dzisiaj, po prostu programem naszej szkoły.

Potrzebę tworzenia tak właśnie rozumianego programu – dokumentu innego niż wszystkie, które dzisiaj zasiedlają szuflady dyrektorskich biur – będę starał się propagować w kolejnych numerach „Wokół szkoły”. Za ilustrację posłużą mi fragmenty wciąż doskonałego i od lat spełniającego się w praktyce programu Szkoły Podstawowej nr 24 STO w Warszawie. Ale to dopiero od następnego numeru. Tymczasem zapraszam na wycieczkę w przeszłość, do roku 1995, kiedy to program SP 24 STO dopiero co ujrzał światło dzienne, a ja na łamach miesięcznika „Edukacja i dialog” opublikowałem pierwszy z cyklu „Listów do N.”, w którym opisałem historię jego powstania.

Drogi N.

Zadałeś ostatnio pytanie, skąd właściwie wziął się program mojej szkoły? (...) Źródeł jest bardzo wiele...

Kilka lat temu dość ciężko zachorowałem, w wyniku czego musiałem poddać się dwóm operacjom. Pierwszą przeszedłem w jednym z warszawskich szpitali. Poprzedził ją tygodniowy okres oczekiwania, w czasie którego niemal do końca nie było wiadomo, kiedy odbędzie się zabieg. Wreszcie pewnego ranka otrzymałem zastrzyk, tzw. „głupiego Jasia”, po którym, co pamiętam już tylko jak przez mgłę, zapakowano mnie na wózek, zawieszono zimnym korytarzem do sali pod jakąś wielką lampę, niemal odarto z pidżamy, wciśnięto coś do gardła, pokłuto rękę itd. Wszystko to odbywało się jakby obok mnie, tylko ból i poczucie bezradności były moje własne. O ciążącym się blisko 2 miesiące zakażeniu pooperacyjnym w ogóle już chyba nie warto wspominać.

Niestety, konieczna okazała się druga operacja. Tym razem, dzięki pomocy rodziny, trafiłem do znanego ośrodka niedaleko Paryża. Przyszedłem tam w poniedziałek o 8 rano, a już o 8.15 rozebrany, lecz przykryty, ze stopami chronionymi przez kapitalnie utrzymujące ciepło plastikowe kapcie, leżałem na stole operacyjnym. W chwilę później przyszedł chirurg, który przywitał mnie uśmiechem i podaniem ręki oraz kilkoma informacjami o zakresie i przewidywanym czasie trwania operacji. Wreszcie uroczą pani anestezjolog powiedziała „a teraz zaczynam pana usypiać...” i... urwał mi się film. Wyszedłem z tego szpitala po kilku dniach, z zabliźnioną już (!) raną i komputerowym wydrukiem informującym mnie, że wizyta kontrolna przewidziana jest... za rok, w piątek, o 9.40. Termin ten zresztą został dotrzymany niemal co do minuty...

Z czasem, analizując swoje przeżycia, doszedłem do wniosku, że sytuacja ucznia w przeciętnej polskiej szkole do złudzenia przypomina to, co spotkało mnie w pierwszym szpitalu. Wszechwiedzący nauczyciel najlepiej wie, jak zorganizowana ma być nauka, a wiedzę tę serwuje uczniowi

zależnie od swego „widzimisię”. Uczeń jest przestawiany i przesuwany z miejsca na miejsce, a wszystko to odbywa się obok niego, tylko stres i porażki (no, niekiedy też sukcesy!) są jego własne. Wtedy właśnie wymarzyłem sobie szkołę, w której uczeń odegra rolę pacjenta francuskiego szpitala. W której szacunek dla jego osoby będzie czymś oczywistym, wyrażającym się respektowaniem jego prawa do informacji, prawdziwej życzliwości nauczyciela, pozornego przynajmniej, a gdzie się da – rzeczywistego, poczucia wpływu na to, co się z nim dzieje! W której następstwa określonych zachowań będą równie przewidywalne, jak moja kontrolna wizyta w szpitalu.

Również kilka lat temu miałem okazję pełnić funkcję instruktora i zarazem kierownika polskiej grupy na obozie naukowym organizowanym przez uniwersytet w Kolonii dla dzieci w wieku od 10 do 18 lat. Spośród wielu wrażeń jedno zapadło mi w pamięć najbardziej. Otóż obowiązkiem każdego uczestnika było wykonanie samodzielnej pracy z wybranej przez siebie dziedzi. Efekty podlegały prezentacji wobec całej przeszło stuosobowej grupy, złożonej z przedstawicieli kilkunastu europejskich nacji. Do dzisiaj jeszcze przeżywam poczucie wstydu i zażenowania, gdy wspomnę, że Polacy, moi wychowankowie zresztą, byli jedynymi uczestnikami imprezy, którzy absolutnie nie potrafili się zdobyć na zainteresowanie tym, co prezentowały inne dzieci. Zakończenie własnego występu było dla nich sygnałem do absolutnego „wylączenia się”, a nawet mało dyskretnego zajęcia zupełnie innymi sprawami. Wtedy właśnie (a były to początki mojej dyrektorskiej kariery) postanowiłem sobie, że program mojej szkoły będzie musiał kształtować u uczniów zarówno ciekawość świata zdolną funkcjonować bez szkolnego przymusu, jak i umiejętność odbierania tego, co mają im do przekazania inni ludzie, nie z przymusu, lecz z poczucia szacunku dla nich.

Mam za sobą kilkanaście lat działalności w roli instruktora harcerskiego. Jako drużynowy byłem powiernikiem swoich wychowanków, którzy opowiadali mi m.in. swoje wrażenia i opinie dotyczące ich szkoły. Były przygnębiające! Niechęć do nauki, niechęć do nauczycieli, niechęć do szkoły wreszcie — to przebijało z każdego słowa ich relacji. Kilka lat później, już jako nauczyciel, przeżywałem kolejny wstrząs obserwując jak dziecko, które znałem z harcerstwa jako energicznego, aktywnego, pełnego entuzjazmu młodego człowieka, z chwilą wejścia na lekcję przestaczało się w apatycznego, leniwego i niechętnego ucznia. Harcerstwo ze swojej natury wykorzystuje entuzjazm, bowiem oparte jest na wyłącznie dobrowolnym uczestnictwie. Celem i jednym z głównych założeń mojej szkoły jest, aby dzieci chciały korzystać ze wszystkiego, co jest ona w stanie im dać, z radością i entuzjazmem świeżo „nawróconych” harcerzy. A program tej szkoły musi być tak skonstruowany, aby dawał do tego entuzjazmu powody i wykorzystywał go z pożytkiem dla całej społeczności szkolnej.

W naszej wędrowce „po źródłach” musimy raz jeszcze wyjechać za granicę, tym razem do Francji. Od kilkunastu lat żyją tam moje dwie przyrodnie siostry. Miałem rzadką okazję do bliskiej obserwacji ich kariery szkolnej. To, co mnie zafascynowało, to szalenie trzeźwy stosunek do nauki. Szkoła była dla nich miejscem pracy – ciężkiej (6 godzin zegarowych zajęć dziennie, nie licząc przerw, tylko w środę i sobotę po 4), ale dobrze zorganizowanej.

We Francji po raz pierwszy zobaczyłem, że można żyć bez ukochanego w mej młodości podwórka. Dni powszednie wypełnione nauką (powrót ze szkoły o 17.00), potem 2–3 godzin odrabiania lekcji, weekendy przeznaczone na życie rodzinne, ewentualnie wizyty towarzyskie w domach koleżanek.

Wreszcie dochodzimy do ostatniego źródła programu szkoły, a są nim moje doświadczenia z kilkuletniej pracy nauczyciela w jednej z warszawskich podstawówek. Nie mogę powiedzieć, abym wspominał ten okres jednoznacznie źle! Lubilem swoich uczniów i, jak sądzę, oni lubili mnie. Wielu do dzisiaj, po 8–10 latach, nadal kłania mi się na ulicy. A jednak uciekłem stamtąd. Przyczyną byli... nauczyciele. Jako „młody gniewny” poświęcałem szkole mnóstwo czasu, podejmując z uczniami wiele nietypowych działań. Dość szybko zorientowałem się, że dla starszych koleżanek i kolegów awansowałem do roli „wroga publicznego numer 1”. Niechęć nie była otwarta. Wyrażała się raczej lekceważeniem moich inicjatyw i propozycji. Wtedy dotarło do mnie, że pojedynczy nauczyciel, choćby najbardziej zapalony, nie jest w stanie ukształtować postaw uczniów, o ile nie spotka się z aktywnym poparciem reszty zespołu pedagogicznego. I już wtedy obiecałem sobie, że w mojej szkole, o ile kiedykolwiek taką będę kierował, stworzę warunki, by nauczyciele musieli ze sobą współpracować, a wymagania stawiane uczniowi były jednolite i niezależne od charakteru, poglądów, czy po prostu humoru poszczególnych pedagogów.

Pora na podsumowanie. Myślę, że z przedstawionych powyżej obrazów wynika, jaką szkołę pragnę tworzyć. To szkoła, w której harcerski entuzjizm łączy się z trzeźwym podejściem do nauki, traktowanej jednocześnie jako powinność i jako inwestycja w samego siebie. To szkoła, której jest się zarazem współgospodarzem, partnerem i entuzjastą. To szkoła wreszcie, w której prawdziwy zespół nauczycieli nie tylko uczy, lecz również, jak profesor Dmuchaiewicz z „Szóstej klepki” Małgorzaty Musierowicz, pomaga uczniom „przejść przez to piekło, które zwie się młodością”.

Mam nadzieję w następnych listach opisać Ci, w jaki sposób praktycznie staramy się realizować te wszystkie zamierzenia. Tymczasem pozdrawiam serdecznie...

Ech, łąza się w oku kręci...!

Słownik pedagogiczny dla rodziców i nauczycieli zagubionych w nowoczesnym świecie

• CZĘŚĆ POLITYCZNA •



CZELADNIK

Nauczyciel, który zdaniem autorki ministerialnego elementarza, Marii Lorek, wyrażonym w „Gazecie Wyborczej” (20.03.2014) „nie myśli tak jak ona”, to znaczy nie podziela poglądu, że w dzisiejszych czasach trzeba uczyć korzystając „z internetu, edukacji plenerowej i wielu różnych form”. Aby uspokoić zaniepokojonych czytelników autorka zapewnia jednak, że większość nauczycieli to ludzie kreatywni i poszukujący, którzy będą wiedzieli jak pracować z napisanym przez nią elementarzem. Wygląda na to, że za sprawą pani Lorek i jej mocodawców polską edukację czekają w krótkim czasie dwa prawdziwe cuda: przygotowanie podręcznika szkolnego w ciągu zaledwie trzech miesięcy oraz wyzwolenie za jego pomocą wszystkich czeladników na mistrzów.

DIALEKTYKA

Teoria bytu ukazująca rozwój rzeczywistości w postaci procesu, którego istotę stanowi ścieranie się i jednocześnie przeciwieństw. W polskiej edukacji najpełniej zastosowana przez Marię Lorek, która w „Gazecie Wyborczej” stwierdziła, że istniejący dotąd wolny wybór podręczników był „bardzo pozorny”, zaś wprowadzenie jednego podręcznika „zwróci nauczycielom wolność”. Człowiek nieobeznany z filozofią nazywa coś takiego „odwracaniem kota ogonem”.

ZADZIWIENIE

Stan emocjonalny pani minister Joanny Kluzik-Rostkowskiej na widok sali, w której zgromadziło się kilkuset dyrektorów szkół podstawowych z Warszawy i okolic, aby wysłuchać, jak będzie im dobrze z darmowym podręcznikiem dla pierwszaków. Wg naocznych świadków pani minister miała powiedzieć, mniej więcej, tak: „Dopiero patrząc na Państwa, tak licznie tu zgromadzonych, zdałam sobie sprawę, jak wiele mamy szkół w Warszawie!”. Ewidentnie mają rację ci, którzy uważają, że wprowadzanie danych do Systemu Informacji Oświatowej jest czystą stratą czasu.

Zaproszenie do CZYTALNI

Spacerując jakiś czas temu w gorącym, przedświątecznym okresie po centrum handlowym zawędrowałem do EMPIK-u, który od czasów młodości (ech, te Kluby Międzynarodowej Prasy i Książki z lat 70., namiastka wielkiego świata!) był dla mnie czymś w rodzaju świątyni słowa pisanego. Oczywiście, kłębił się tam trudny do opisania tłum ludzi kupujących świąteczne prezenty. Oczywiście – to znak współczesności – wśród tysięcy przedmiotów, wystawionych do sprzedaży w centralnej części sklepu, książki stanowiły mniejszość, przytłoczoną feerią świątecznych ozdób, bibelotów prosto z Dalekiego Wschodu, płyt audio i video oraz programów komputerowych. Wystarczyło jednak zaledwie kilka kroków i nagle znalazłem się pośród regałów wypełnionych literaturą dla dzieci. Zupełnie sam! I nie wiem, co zrobiło na mnie większe wrażenie: owa pustka w najbardziej (dla mnie) magicznym zakątku księgarni, czy też piękno wystawionych tam książek.

Każdy, kto choć trochę interesuje się kulturą wie, że czytelnictwo jest zjawiskiem zanikającym. Jak podali naukowcy z Biblioteki Narodowej – 62% Polaków nie sięgnęło w 2009 roku po żadną książkę. Wśród pozostałych dominuje młodzież, czytająca (niejako „służbowo”) lektury szkolne, a właściwie, coraz częściej, ich skróty i opracowania. Odsetek czytelników maleje od lat, a przyczyn tego zjawiska upatruje się w ogromnej ofercie telewizji, wzroście cen książek, popularności gier komputerowych oraz ekspansji internetu. Aha, oczywiście jeszcze w nieudolności systemu oświaty, który (podobno) skutecznie zabija w młodych ludziach chęć czytania.

Choć raport upubliczniono już jakiś czas temu, nie zrobił on wtedy na mnie nawet w połowie tak wielkiego wrażenia, jak pustka w dziale książek dla dzieci w zatłoczonym EMPIK-u. Wydawcy uczynili naprawdę wszystko, by oferta literatury dziecięcej miała jak największą szansę trafienia w gust współczesnego odbiorcy. Książki zachwycają zarówno szatą graficzną, jak bogactwem tytułów. Obok pamiętającego czasy mojego dzieciństwa kieszonkowego wydania „Dzieci z Bullerbyn” Nasza Księgarnia prezentuje drugie, większe, kolorowe, po prostu piękniejsze. Podobnie mnożą się wydania klasycznych baśni, dzieł Brzechwy, Makuszyńskiego, Tuwima i wielu innych. Jeżeli, używając terminologii militarnej, słowo pisane przegrywa wojnę z obrazem, to mamy tutaj do czynienia z jego pełnym determinacją, rozpaczliwym kontratakiem. Niestety – bezskutecznym. Książka nie jest dziś pożądanym przez większość dzieci prezentem gwiazdkowym.

Duże formaty, kredowy papier i błyszczące okładki, a nade wszystko piękne ilustracje – to wszystko ma przyciągać uwagę odbiorcy przyzwyczajonego do kierowania się wrażeniami wzrokowymi. Najwyraźniej jest to za mało, by ściągnąć do księgarni potencjalnych

małych czytelników, którym elektronika oferuje dzisiaj moc łatwej w odbiorze rozrywki, nie wymagającej trudu odekodowywania informacji zapisanych za pomocą liter.

Linia frontu przebiega też wzdłuż regału, na którym znajduje się pokaźny wybór książek mówionych, w narzeczcu krajowców znad Wisły zwanych audiobookami. Kiedyś rozrywka dla osób niewidomych, dziś oferowana także nieczytającym i nie mającym czasu czytać. W czasach, gdy coraz dłużej przebywamy w samochodzie, a co drugi przechodzień na ulicy nosi w uszach słuchawki, jest to niewątpliwie pewna szansa dla literatury. Nie tak pożyteczna dla edukacji, nie tak rozwijająca jak normalne czytanie, ale na pewno ważna. Nawyku czytelnictwa u dzieci jednak nie wytworzy.

Czytanie jest procesem na tyle złożonym, że rozwija wiele funkcji ludzkiego umysłu. Według obecnego stanu wiedzy nie da się go w pełni zastąpić innymi formami aktywności intelektualnej. Dlatego psychologowie i pedagodzy od dłuższego czasu szukają sposobu zahamowania spadku czytelnictwa. Najgłośniejszym i najszerzej zakrojonym w ostatnich latach działaniem w tej dziedzinie jest akcja społeczna „Cała Polska czyta dzieciom”. Jej najcenniejszym chyba efektem stało się uświadomienie wielu dorosłym, że regularne, głośne czytanie dziecku daje szansę wykształcenia w nim pożądanego nawyku czytania.

Dla mnie nie jest to żadnym odkryciem. Harcerze z drużyny, którą prowadziłem ponad ćwierć wieku temu, zapewne pamiętają jeszcze wspólne wieczory z powieściami Małgorzaty Musierowicz, albo opowiadaniem Marii Łopatkowej. Nigdy nie porzuciłem tej praktyki. Każdy wieczór wakacyjnych obozów kończymy głośnym czytaniem zarówno w grupie dzieci ze szkoły podstawowej, jak wśród gimnazjalistów. Odmienne ze względu na wiek słuchaczy lektury, są jednakowo dobrze odbierane, różnica dotyczy głównie tempa usypiania audytorium.

Kto chciałby dokładniej poznać efekty akcji „Cała Polska czyta dzieciom”, listę rekomendowanych lektur i wskazówki metodyczne, powinien odwiedzić witrynę internetową www.calapolskaczytadzieciom.pl. Osobiście podzielam prezentowany tam pogląd, że każdy kto poświęca 20 minut dziennie na głośne czytanie, daje swojemu potomstwu ogromny impuls rozwojowy. Jednak kluczem do pełnego sukcesu akcji, szczególnie tam, gdzie tradycje czytelnicze są znikome, a szansa wciągnięcia w nią rodziców niewielka, jest zaangażowanie placówek oświatowych.

Po napisaniu ostatniego zdania głęboko się zadumałem. Jako dyrektor szkoły podstawowej najlepiej wiem, jak wiele zadań spoczywa na niej i jak często obarczenie jej kolejnym wydaje się władzom oświatowym równoznaczne z rozwiązaniem problemu. Szkoła pełni rolę mini-ośrodka pomocy społecznej, przechowalni dzieci, uniwersalnego gabinetu terapii pedagogicznej, centrum edukacji patriotycznej, lokalnego klubu sportowego, domu kultury i czego-tam-jeszcze-chcecie w jednym. No i ma za zadanie uczyć, dokładnie tak, jak zapisano w podstawie programowej, a zarazem „pod” wymagania egzaminacyjne. Ilekroć słyszę kolejny świetny pomysł, co jeszcze powinna robić szkoła, tylekroć zaciskam zęby ze złości. A tymczasem tutaj sam sugeruję większe zaangażowanie w akcję czytania...

Jeśli jednak przyjmiemy, że ponadczasową misją szkoły jest wychowanie światłego obywatela, a nie pokorne wdrażanie idei kolejnych ministrów*, kształtowanie nawyku czytania staje się zadaniem o niezwyklej wadze, kluczem do wypełnienia tej misji. Na szczęście ten sposób myślenia nie należy w Polsce do rzadkości. Do programu „Czytające szkoły” prowadzonego przez Fundację „ABCXXI – Cała Polska czyta dzieciom” przystąpiło wiele placówek.

Koordinatorem akcji jest zazwyczaj bibliotekarz, z założenia niejako rzecznik literatury w szkole. Warto pamiętać jednak, że współczesna tendencja rozwojowa wiedzie od skarbnicy książek do skarbnicy wiedzy. Nowoczesna biblioteka oferuje czytelnikom (no, może raczej... odwiedzającym) swobodny dostęp do zasobów wiedzy kryjących się w internecie; gromadzi i udostępnia także materiały filmowe i nagrania. Miejsce klasycznej czytelnicy zajmują stanowiska komputerowe. Ta tendencja jest prawidłowa, czy nam się to podoba czy nie, bowiem zasoby wiedzy zapisanej na papierze, obawiam się, wkrótce przyjmą charakter zbiorów muzealnych. Czynienie z nowoczesnej biblioteki jednocześnie skarbnicy piękna zaklętego w słowie może być po prostu niewykonalne.

Organizatorzy akcji „Cała Polska czyta dzieciom” położyli nacisk na dobrą wolę nauczycieli. Nauczyciel czytający swoim uczniom jest z pewnością najbardziej wiarygodnym i najlepszym źródłem pozytywnych emocji związanych z tą czynnością. Stosunkowo łatwo o to w przedszkolu i w młodszych klasach szkoły podstawowej, trudniej, choćby ze względów organizacyjnych, w dalszej edukacji. W naszej szkole nauczyciele codziennie czytają głośno dzieciom, ale dotyczy to wyłącznie klas młodszych. W starszych brak czasu skutecznie osłabia, wątle skądinąd, natężenie woli. Wprowadzenie systemowego rozwiązania do programu wychowawczego szkoły mogłoby zarówno ułatwić pracę już przekonanym, jak i skłonić do działania sceptyków.

Zatem: systemowo, najlepiej w całej szkole, niekoniecznie w oparciu o bibliotekę...
A dokładnie, jak?!

To, co proponuję, to stworzenie w szkole wydzielonego miejsca przeznaczonego wyłącznie do spotkań z literaturą. Wymyśliłem nawet nazwę – niech nosi ono miano CZYTALNI. Właśnie CZYTALNI, bo czytelnia to miejsce, gdzie każdy czytelnik cicho czyta wybraną przez siebie książkę, a CZYTALNIA, to miejsce magiczne, w którym książki czyta się głośno.

WCZYTALNI gromadzimy niewielką kolekcję najpiękniejszych wydań najbardziej wartościowych pozycji literatury dla dzieci. Pierwsze 20–30 książek wybieramy wspólnie – nauczyciele, uczniowie, rodzice. Potem, co miesiąc, również wspólnie, wzbogacamy nasz zbiór o jedną pozycję dla każdej grupy wiekowej. Ona jest książką miesiąca, bohaterką kolejnego spotkania.

Wszystkie książki znajdują miejsce na półkach, zwrócone okładkami w stronę słuchaczy. Wykorzystujemy ich piękno, by cieszyły wzrok podczas każdego spotkania.

* Szokujące, jak niewiele z tego, co uważano za szczególnie ważne w szkole pod rządami ministra Giertycha, pozostało ważne w epoce minister Hall, a potem pani Kluzik-Rostkowskiej.

W centralnym miejscu CZYTALNI stoi głęboki fotel przeznaczony dla osoby czytającej. Wygodnie słuchaczy służy miękka wykładzina na podłodze.

Jeśli CZYTALNIA znajduje się w osobnym pomieszczeniu, nawet niewielkim, znajdujemy w niej miejsce na dekoracje, przygotowywane kolejno przez poszczególne klasy: wystawę ilustracji wykonanych przez dzieci do wybranej książki oraz dekorację biograficzną o jej autorze.

Moja propozycja nie wyklucza, ani nie ma zastąpić codziennego czytania dzieciom w klasie. Jej celem jest stworzenie w szkole dodatkowego ośrodka aktywności związanej z czytaniem, atrakcyjnego wizualnie, wykorzystującego zewnętrzne walory książek, posiadającego aurę pewnej tajemniczości i przygody. CZYTALNIA może być zarówno miejscem comiesięcznych spotkań z książką każdej klasy, jak również spotkań organizowanych dla dzieci ze świetlicy, kółka literackiego, albo dla młodszego, jeszcze nie chodzącego do szkoły rodzeństwa uczniów. Zakres możliwości limitują tylko realne potrzeby i nasza wyobraźnia.

Materialne piękno wydawanych dzisiaj książek, które tak zachwyciło mnie w księgarni, może także służyć rozwijaniu zamiłowania do czytania.



W CZYTALNI może też być wesoło



Aura tajemniczości przydaje smaku czytaniu

Postscriptum: Kilka dni po napisaniu powyższego poszedłem ponownie do EMPIK-u. W dziale książki dziecięcej panował niczym niezmacony spokój. Znowu byłem jedynym klientem.



Klubu Pytolotników

spotkanie z „Dziadami”

Krążąc myślami – i piórem – wokół problemów edukacji, które aż nazbyt często budzą moją troskę, zawsze mogę zrelaksować się powracając do codziennej pracy. Mam w życiu niesamowite szczęście wykonując zawód, który sprawia mi radość i satysfakcję. Kierowanie szkołą samo w sobie jest fantastycznym doświadczeniem, ale najwięcej ciekawych przeżyć dostarczają mi działania podejmowane wspólnie z uczniami, w których wciąż odnajduję harcerskie klimaty. Należą do nich wyprawy Klubu Pytolotników.

Kto po raz pierwszy nazwał mojego pomarańczowego Volkswagena mianem Pytolota ginie w pomroce dziejów. Musiał to być harcerz, bo w tym środowisku nadano mi przezwisko Pytol. Musiało to być dawno, jeszcze w czasach, kiedy wszyscy młodzi ludzie czytali komiksy z Tytusem, Romkiem i A'omkiem, którzy niemal w każdym odcinku podróżowali jakimś przedziwnym „-lotem”. Bo i mój mikrobus też był pojazdem niezwykle oryginalnym. Rzadko kiedy zapalał z własnej nieprzymuszonej woli – zazwyczaj wymagał kilku popychaczy, którzy po wykonaniu zadania musieli zwinnie wskoczyć przez boczne drzwi do środka, uważając przy tym pilnie, bo drzwi owe miały w sobie ogromną chęć oderwania się od pojazdu. Przejazd przez kałużę był dla pasażerów źródłem wielkiej radości z powodu gejerów wody wpadających przez dziury w podłodze. Nigdy też nie było gwarancji dojechania do celu, ale jeśli już się to udawało cała załoga odczuwała ulgę i satysfakcję. Przy tym wszystkim Pytolot miał jedną wielką zaletę – jego ładowność wydawała się wprost nieograniczona. Woził namioty, sprzęt kuchenny, materace, a na szczycie utworzonej z tego sterty kilku uszczęśliwionych druhów, uderzających w sufit w rytm podskoków pojazdu na leśnych wybojach. Ostatnią podróż odbył w 2012 roku, w wieku 32 lat, prosto do składnicy złomu w Augustowie. Niestety, zepsuł się po drodze i potrzebna była laweta...

Jego następca, rocznik 1995, został zrazu przyjęty chłodno i to pomimo nadania mu w warsztacie przepisowej pomarańczowej barwy. Młodemu ludziom wydał się już nie tak klimatyczny, obrzydliwie niezawodny, a przede wszystkim za mało pojemny – bowiem mieścił zaledwie osiem osób i nie bardzo nadawał się do przewozu harcerskiego sprzętu. Oswoił się z nim dopiero po pewnym czasie. Dla mnie, w obliczu obozowej emerytury, stał się przepustką do nowej aktywności – przyrodniczych podróży po Polsce w dobrze dobranym gronie gimnazjalistów. Dzięki niemu powstał Klub Pytolotników,



Stary Pytolot



Nowy Pytolot

który w ciągu ostatnich niespełna dwóch lat odbył już pięć kilkudniowych wypraw. Jedna z nich – w Bieszczady, została upamiętniona w sposób szczególny.

Pojechaliśmy tam jesienią, w dwa mikrobusy, w rozszerzonym gronie kilkunastu osób, stanowiących bardzo ciekawą mieszankę. Były wśród nas trzy piątoklasistki z Klubu Siedmiu Przygód, nazywane pieszczotliwie harpiami. Było pięcioro gimnazjalistów płci obojga, jeden absolwent, dwie nauczycielki, dwoje rodziców uczniów, jeden rodzic absolwenta i niżej podpisany. W ciągu dwóch całodniowych wycieczek dotarliśmy do Jezior Duszatyńskich, wdrapaliśmy się na Chryszczatą, odwiedziliśmy schronisko „Chatka Puchatka” na Połoninie Wetlińskiej oraz zadymiony i czarny od sadzy drewniany barak z napisem „Doskonałe sery”, stojący gdzieś w polu nieopodal Żubraczy. Ale to, co najważniejsze zdarzyło się wieczorem drugiego dnia, w przytulnej jadalni schroniska PTTK w Komańczy.

Od niepamiętnych czasów rytuałem kierowanych przeze mnie wypraw turystycznych jest głośne wieczorne czytanie. Zazwyczaj sam dobieram lekturę i sam ją odczytuję, ale tym razem było inaczej. Poprosiłem gimnazjalistów, żeby to oni mieli ze sobą jakieś dobre książki. Na miejscu okazało się, jak to ostatnio często z młodymi ludźmi bywa, że o tym zapomnieli. Czworo przyznało się z honorem, piąty postanowił się wyłgać. Miał ze sobą „Dziady, część III”, które to dzieło czytał w wolnych chwilach jako przewidzianą w najbliższym czasie „do przerobienia” szkolną lekturę. I właśnie „Dziady” wręczył mi dumnie, mówiąc, że to jest jego wybrana książka do wieczornego czytania. Bardzo się zdziwił, kiedy powiedziałem: „To wspaniale!”. Inny gimnazjalista, Michał, zgłosił się na lektora, wybrał jakiś fragment i... zaczęło się. Nigdy bym nie przypuszczał, że będzie to tak ciekawa lektura. W zaciszu schroniska popłynęła opowieść z czasów dawno minionych, wywołując w moich myślach bardzo aktualne skojarzenia: a to z ministrem Rostowskim, a to z premierem Tuskiem, a to z bieżącymi rozgrywkami partii politycznych. Cała nasza grupa zastygła zasluchana, podobnie jak inni turyści, którzy z wrażenia przestali nawet raczyć się piwem „Żubr”. Po dwudziestu minutach Michał skończył, ale ręczę, że ten czas nie dłużyl się nikomu. A nazajutrz...

Nazajutrz Michał, który zwyczajowo zajmuje w Pytlocie miejsce w ostatnim rzędzie, od początku pracowicie skrobał coś na papierze. Okazało się, że poczuł natchnienie, na fali którego stworzył kronikę naszej wyprawy, posługując się warsztatem poetyckim twórcy „Dziadów”. Z jego dzieła, liczącego kilkaset wersów, przytaczam poniżej pierwszą część, obejmującą inwokację i opis wyprawy po kebab, która miała miejsce jeszcze przed wyruszeniem z Warszawy. Patrząc na długość tego fragmentu można sobie wyobrazić bogactwo formy i treści opisu naszych dalszych przygód.

Publikując dzieło Michała pragnę wyrazić mu swoje uznanie, a zarazem pokazać, że wśród rzeszy gimnazjalistów, zwanych często pogardliwie gimbusami, znajdują się twórczy młodzi ludzie, których uzdolnień i pasji nie jest w stanie zabić wieloletnia nauka szkolna. Dzieło opatruję przypisami, aby pomóc Czytelnikowi w odbiorze niełatwych poetyckich treści. Miłej lektury!

Jak żeńcy, koszący bure ziarn pszenicznych kłosy,
Pieśń o trudzie wznoszący gromko, wniebogłosy
I do spichrzy złożywszy owoce swej pracy
Młący w mąkę, by za co w stolicy rodacy
Mieli mrówcze swe toczyć bezustanne spory,
Lub jak w czas zmierzchu królów kat ścina ponury
Karki panów herbowych w kryzach pobielanych,
A gdy przebrzmiał ostatnie w dali barabany
Spod szafotu lud ciemny rusza w dzikim szale,
Aby ciała bezcześcić, nabijać na pale
I szarpać bez litości – tak druh harcmistrz Pytlak
Brodę swą srebrną ścina wyostrzoną brzytwą;
Spada na umywalkę dyrektorskie runo.
Patrzy Pytol na efekt: opisać nie umiem,
Choćbym lirę Apolla skradł z Olimpu gmachu,
W najdoskonalszych pieniąch z ogromem rozmachu
Owych poprawek skutku piękna przemożnego –
Słusznie mistrzem sztuk wszelkich zwą harcmistrza tego,
Co płochliwą zerówkę oraz młodsze klasy
I te starsze i wszystkich w gimnazyjum naszym
I harcerzy i zuchy – nawet instruktorów
Żelazną trzyma ręką; kłótni żadnych, sporów,
Bójek, gwałtów, kradzieży nie uświadczysz u nas –
Dzięki niemu! Gdyby lepiej dobrać sobie umiał
Towarzyszy podróży – dwoje z dziewiętnastu...
Ale o tym za chwilę. Pytlak drzwiami trzasnął
(choć mu brody ubyło, przybyło wigoru).
Już próg kuchni przekroczył, za czym począł z worów,
Co na szufladach stały wszelkie ingrediencje,
Które mu są potrzebne wyjmować zawzięcie –
Jakby róg obfitości pękł na skraju blatu,
W złocisty korab bułki ogrom tocząc smaku –
Dyrektorska kanapka treścią się napęlnia.
Zjadł ją Pytol i czuje – radość go wypełnia.
Włożył płaszcz, za czym żonę ścisł na pożegnanie
I wyruszył na klubu swojego spotkanie.
Miał on w dwóch partiach ruszyć na bieszczadzkie szczyty:
Wprzód ów Klub właściwy, sprawdzony, obyty,
Pytolotem spod szkoły w dół mapy pojedzie,
Z kolei circa tertia drugi wiec tu będzie:
Matki, ojce, belferki i dziewczynki małe
Większym bussem wyruszą w niezmiernej nawale –
Teraz jednak ich losów nie zaszczyć piórem.

Inwokację należy odczytywać nie nazbyt dosłownie, jedynie jako manifest bogactwa warsztatu poetyckiego autora.

Scena ścinania przeze mnie brody jest bliżej niewyjaśnioną metaforą, bowiem w życiu czynię to tylko w zakładzie fryzjerskim. Niezależnie od intencji poety jego wizja mojej osoby stanowi doskonały przykład wkradania się w łaski mecenasa.

Poeta w pełnej krasie. Prostą scenę zjedzenia przeze mnie kanapki przed wyjściem z domu zdołał opisać aż w ośmiu wersach.

Klub właściwy, to oprócz mnie i Michała, jego tata i inni gimnazjaliści. Tylko ta grupa będzie opiewana przez poetę w dalszej części utworu.

Idą Pytlotnicy. Twarze ich ponure
Od snu nazbyt krótkiego (wstali jak do szkoły).
Szybko wigor zyskują i wygląd wesoły –
Widzą wszak Pytolota! Wielu próbowało
Opisać ów samochód – wielu nie zdołało.
Barwa jego miedziana, lecz z tym zastrzeżeniem,
Że nie drażni patrzących miedzi złudnym lśnieniem –
Jest matowa, a jednak jak pożoga żywa;
Zrazu w każdej się duszy żwawszy ton odzywa.
Na widok tego busa chce się śpiewać, tańczyć
I jechać nim gdziekolwiek – choćby do Komańczy.
Bo Komańcza jest celem – wkoło połoniny,
Góry, głązy tajemne i zamków ruiny:
Wszystko we mgle i deszczu – port to wymarzony:
W takie właśnie Klub jeździ tajemnicze strony.
A kto z Pytlakiem w klubie? Oto dwa Zapały:
Starszy jest kadry członkiem – przed juniorem drżały
Przeszłe jemu podległe zuchów pokolenia.
Ale stawiał się dzisiaj i trzeci weteran,
A mianowicie Patryk. On w pytlaczych prawach
Najlepsze z tam obecnych rozeznanie zdobył.
Jest i Kuba Zapaśnik, klubu członek młody
Oraz Olga z Moniką – ta ostatnia czasem
Przez przyjaciół z przekory zwana jest Jonasem.
Cały klub teraz rzędem stoi przy swym busie:
Z dyrektora przykazu Zapał junior musiał
Tylną klapę otworzyć i wszelkie bagaże
W luk cisnąć; przy pracy szczególnie uważał
Na torbę ojca swego, bo w niej jest komputer
I olimpiad arkusze – ale o nich potem.
Kiedy już wpakowano walizki naprędce
Zapał Senior do syna nachyla się. Szeptem:
„Wiesz, w sumie z ochotą pożarłbym kebaba”.
Młodszy Zapał, zamyślony, mówi: „Trudna rada,
Walczę z podobną żądzą, jednakże godzina
Odjazdu bardzo bliska – nie wiem, czy zdążymy,
Idę jednak o dyrektorską prosić zgodę”.
Wchodzi do gabinetu i pyta: „Czy mogę
Na kebaba z Patrykiem szybko się wyprowadzić?”
„Jeszcze kwadrans” – rzekł Pytlak – „Muszę tu zabawić,
A nie mam dla waszej dwójki pilniejszych poruczeń...
Masz me błogosławieństwo. Orzekłem, że uczeń
Co na kebaba wyjdzie naganę dostanie,

Jak pisałem we wprowadzeniu – Pytolot, nawet nowy, jest pojazdem kultowym.

Czekając na rozpoczęcie podróży chłopcy poculi głód. Ponieważ ja ciągle załatwiałem jakieś służbowe sprawy, pozwoliłem im pójść do niedalekiej budki, co na co dzień jest wszakże w szkole surowo zabronione.

Jednak o kres wagarów chodziło mi, a nie Zamorzenie mych drogich klubowiczów głodem – Szkodzi pusty żołądek organizmom młodym. Idź już!”. Na te słowa Zapał podskakuje, Bierze z sobą Patryka i do budki pruje – Ta jest wprawdzie zamknięta, lecz Turczyn znajomy Robi drobny wyjątek i wpuszcza zmarznionych, Proponuje kebaba, herbatkę, kefirek – Stąd pochodziło mięso, na którym frau Firek Krok zgubiła po długiej potyczce z Zapałem, Której tu nie opiszę, choć mogę – widziałem. Wróćmy jednak do Turka. On pyta: „Czy macie Kwadrans albo i więcej? Żeś ty mój przyjaciel, To otworzyłem budkę – teraz nagrzać muszę Toster, grilla i piecyk; i chociaż je zmuszę Do jak najszybszej pracy, to trzeba doliczyć Na to troszeczkę czasu, o Pytolotnicy.” Zapał strapił się bardzo i telefon chwyta: Wie, że ma mało czasu, dlatego chce spytać Artura, swego tatę: czekać czy zamówić? Ten odebrał i każe o sytuacji mówić, A gdy syn z konwersacji raport zrobił karnie Marsową zrobił minę i powiada: „Harpie (Tak się młodsza część klubu każe tytułować) Za pięć godzin ruszają. Turek nie dochowa, Jak przypuszczam, terminu i dłużej mu zleci – Jeśli więc harpie wiec przyśpieszą, dzieci, To nas mogą wyprzedzić – a tego nie zniosę. Trochę szkoda kebaba, lecz wracajcie proszę.” Kiedy jednak wrócili, a Pytlak wciąż bawił W gabinecie, gdzie sobie tylko znane sprawy Tak rozgrywał jak zechciał, klubowy kolektyw Postanowił: „Ruszajcie. Pytol jest zajęty, Czasu, jak się wydaje, jeszcze trochę macie... Może Turek z terminu wywiązać się raczy.” Wraca tedy Zapała z Patrykiem u boku Obaj w wielkim pośpiechu przyśpieszają kroku Aż przy budce zziądani proszą trzy kebaby: Jeden mały, barani, cienki, z sosem słabym, Drugi średni, z kurczaka, mieszanego smaku, Trzeci był zaś pikantny. Z racji czasu braku Patryk, wbrew zwyczajowi, nie je podczas drogi, Zapał wziął zaś trzy kęsy, by pokrzepić nogi.

Michał z Patrykiem poszli do budki z kebabem, którą właśnie otwierał jej właściciel.

Fragment poświęcony frau Firek jest dalekim echem konfliktu autora z nauczycielką biologii.

Właściciel budki zaoferował chłopcom różne smakołyki, o ile cierpliwie poczekać na uruchomienie produkcji. Ci po konsultacji telefonicznej z tatą Michała uznali, że mają na to za mało czasu.

Ponieważ okazało się, że moje sprawy w szkole się przeciągają, chłopcy za zgodą taty Michała poszli jeszcze raz po kebab. Tata Michała był po prostu bardzo głodny.

Po dokonaniu zakupu tak bardzo się spieszyli, że jeden w ogóle nie tknął po drodze smakołyku, drugi ledwie zaś trzy kęsy.

Pierwsze kilometry jazdy upłynęły nam więc przy wtórze miarowego mlaskania.



Proste jest piękne i... skuteczne

Nielatwo przyznać się do ignorancji, ale przeżyłem ćwierć wieku swojej kariery zawodowej nauczyciela i pedagoga nie znając większości wydanych w tym czasie w Polsce książek o wychowaniu. Dopiero ostatnio, za sprawą życzliwych ludzi, którzy podrzucają mi lektury z własnej biblioteczki, nadrabiam zaległości, często popadając przy tym we frustrację. Przekonuję się bowiem, że wiele pomysłów, które przyszły mi do głowy w ciągu tych wszystkich lat, i które wprowadzałem w życie traktując jako własne, ktoś wcześniej wymyślił i opisał. Na ośłodę pozostaje mi świadomość, że ze swoimi tradycyjnymi poglądami na wychowanie, pojmującymi dziecko po prostu jako dziecko, nie jestem jednak osamotniony.

Byłem autentycznie szczęśliwy, kiedy w statucie naszej Szkoły zmieniono uświęcony tradycją zapis, że jej nadrzędną ideą jest „dobro dziecka”, na „dobro człowieka”. Chociaż lubię uczniów i szanuję ich, nie widzę żadnego powodu, dla którego należałoby ich dobro stawiać ponad dobro rodziców, nauczycieli, czy w ogóle innych ludzi. Jakież było moje zdziwienie, gdy podobny pogląd – o konieczności zdjęcia dziecka z piedestału, na który trafiło w ostatnich dziesięcioleciach za sprawą różnej maści psychologów i pedagogów – odnalazłem w książce Johna Rosemonda pt. „Sześć podstawowych zasad. Jak wychować zdrowe i szczęśliwe dzieci”.



DZIECKO JEST NAJWAŻNIEJSZE

Mantra powtarzana przez ludzi związanych z edukacją. Błędna w założeniu. Dziecko wychowane w poczuciu swojej wyjątkowej ważności nigdy nie pojmie rzeczy fundamentalnej dla harmonijnie funkcjonującego społeczeństwa, że ważny jest każdy człowiek. W szkole, na przykład, nauczyciel, rodzic, a także pani woźna i dozorca.

O amerykańskich poradnikach dla rodziców i nauczycieli wiadomo, że można wśród nich znaleźć pozycje uzasadniające każdą możliwą teorię. Wystarczy tylko poszukać. Jeśli ktoś jest zwolennikiem wyrafinowanych psychologicznie metod wychowawczych, opartych na głębokim poszanowaniu dziecięcego jestestwa, powinien sięgnąć po inną pozycję – książka Rosemonda wyda mu się bałamutna. Zawarta w niej idea pedagogiczna

jest niezwykle prosta – dziecko stanowi dodatek do małżeństwa swoich rodziców i tylko jako takie, pozbawione roli „pępka świata”, rozwija się harmonijnie i wyrasta na dobrego i zrównoważonego dorosłego. Pogląd ten w pełni pokrywa się z moim doświadczeniem.

Rosemond formułuje sześć zasad dotyczących fundamentów relacji między rodzicami a dzieckiem i rozwija je w kolejnych rozdziałach swojej książki, ilustrując licznymi

przykładami. Twierdzi, na przykład, że „rodzice powinni poświęcić więcej uwagi swojemu małżeństwu niż dzieciom”. Albo, że „frustracja nie zawsze musi być dla dziecka szkodliwa”. Jestem przekonany o słuszności tych poglądów, bo zdarzyło mi się już obserwować niejednych rodziców, którzy najpierw próbowali wychowywać dziecko w sposób partnerski, zgodnie z modnymi dzisiaj zaleceniami psychologów, a następnie stawali bezradni wobec egoizmu, braku empatii i zwykłej niegrzeczności swojej progenitury. Tymczasem wystarczy nieco zdrowego rozsądku i równie zdrowego poczucia autonomii osób dorosłych, by wychowanie stało się naturalnym efektem uporządkowanych relacji społecznych w rodzinie, a nie żmudnym procesem zmagania się z dzieckiem.

Jeśli ktoś czuje, że w powyższym twierdzeniu może kryć się jakaś racja, albo po prostu ma już dość codziennego chocholego tańca z własną pociechą, powinien koniecznie sięgnąć po „Sześć podstawowych zasad”.

Posłowie tej książki zawiera Ustawę o Prawach Dziecka Johna Rosemonda. W jej dzieściu artykułach i jednym dopisku autor zawarł kwintesencję swojej koncepcji pedagogicznej. Niestety, uczynił to w sposób nieco rozwlekły, bowiem pisał w tych zamierzonych czasach, kiedy SMS nie był jeszcze synonimem „dłuższej wypowiedzi pisemnej”. Zachęcając więc do lektury pierwowzoru pozwolę sobie zamieścić tutaj jego przetworzoną przeze mnie wersję, w postaci dziewięciu prostych przykazań. Wskazują one w sposób syntetyczny jak utrudnić życie dziecku, żeby było mu łatwiej.

1. Dziecko jest ważne. Rodzice są ważniejsi!
2. Potrzeby – tak. Zachcianki – nie. O tym, co jest potrzebą decydują rodzice!
3. Dziecko to nie partner. Dziecko to dziecko!
4. Słowo „nie” hartuje dziecko – aplikować trzy razy dziennie!
5. Odrobina frustracji wzmacnia młodą psychikę!
6. Dziecko ma prawo wyrażać opinie. Rodzice nie muszą ich brać pod uwagę!
7. „Bo ja tak chcę!” jest wystarczającym uzasadnieniem woli rodzica!
8. Posłuszeństwo dziecka, to klucz do harmonijnego życia w rodzinie!
9. Torba szkolna należy do dziecka. Nie należy mu jej odbierać nawet na chwilę!

Na koniec gorąca prośba:

Droży Rodzice! Piszcie słowo „dziecko” wielką literą tylko na początku zdania!



John Rosemond

„Sześć podstawowych zasad. Jak wychować zdrowe i szczęśliwe dzieci”,

Oficina Wydawnicza „Aba”,

Warszawa 2007.

Następny numer „Wokół szkoły” ukaże się we wrześniu 2014

JP OFICyna
PEDAGOGICZNA
JAROSŁAWA
PYTLAKA

przedstawia:



OCOP

OCENY OPISOWE 4.0



*Podobno najlepszy,
na pewno najprostszy
program do tworzenia
ocen opisowych*

Zajrzyj, ściągnij, wypróbuj!

WWW.OCOP.PL

PROGRAM ISTNIEJE OD 2001 ROKU